



ADAM WAŻYK

WIERSZE POKOJU I PRACY

RZEKA

Mądrość Stalina,
rzeka szeroka,
w ciężkich turbinach
przetacza wody,
płynąc wysiewa
pszenicę w tundrach,
zalesia stepy,
stawia ogrody.

W gmachu imperium
strop się ugina:
pękła kolumna.
Wstępuje z głębin
mądrość Stalina,
rzeka podskórna.
Góry wysokie
w kraju poety
Mao Tse-Tunga —
zgryzła opokę,
panów zwała
i nawodniła
biedniackie grunta.

Ludzie zbudzeni
na ziemi swojej,
łamią się chlebem,
dzielą pokojem.
Ty ich opływasz,
rzeko rozumna,
ty wieiesz zdrowiem,
wiatrem urody;
przebijasz góry,
rzeko podskórna,
łączysz narody.

PIOSENKA
O COCA-COLA

Dobrze wam było pić Coca-Cola.
Ssaliście naszą cukrową trzcinę,
zjadali nasze ryżowe pola,
żuliście kauczuk, złoto, platynę,
dobrze wam było pić Coca-Cola.

My, co z bagnistych piliśmy studzien,
Dzisiaj pijemy wodę nadziei,
męstwo, którego źródło jest w ludzie,
pijemy wodę w górach Korei,
my, co z bagnistych piliśmy studzien.

Po Coca-Cola błogo, różowo
za parę centów amerykańskich
śniliście naszą śmierć atomową,
pięć kontynentów amerykańskich.
Po Coca-Cola błogo, różowo!

My, co pijemy wodę nadziei,
wiemy, gdzie sięga dziś nasza wola:
wyszlście z Chin, wyjdziecie z Korei,
my wam przerwiemy sen Coca-Cola,
my, co pijemy wodę nadziei.

WARSZAWA
ŻRENICA POKOJU

Moje miasto ogniem palone,
moje miasto łamane kołem,
moje miasto rozczwartowane.

W moim mieście są piękne domy,
i domy jeszcze piękniejsze,
i między nimi zieleńce.

W moim mieście jest tyle powietrza,
co między strunami lutni,
tyle powietrza jest w moim mieście.

Ty jesteś moje miasto,
łza przechodząca w radość,
westchnienie — w granit.

Ty jesteś moja troska,
troska, która zachwyca
oczy, usta, serce.

Myśmy wskrzesili miasto,
oni wskrzesili mordercę.

Ty jesteś moje miasto,
troska mężczyzn i kobiet,
Warszawa, pokoju żrenica.

Prości ludzie znają mordercę.
Prości ludzie odtną mu ręce.

LUD WEJDZIE
DO ŚRÓDMIEŚCIA

Patrz, jak stoi uparta
na rusztowaniach partia,
rozpala się klasowa
bitwa — nasza budowa.
Niech wiedzą ludzie, komu
rodzi się dom po domu,
czy magnatom stalowym,
wariatom atomowym,
czy sobie i ludowi
Warszawa się sposobi.

D/m się rodzi inaczej
z przymusu i rozpacy,
przerywany w połowie
strajkami na budowie,
niedolą murowany,
przekleństwem tynkowany.
Nie nasze były mury
naszej architektury,
krwią zlepiane pałace,
te ubogiego prace:
gotyk naszego trudu,
renesans, dzieło ludu,
panom stawiany barok,
pokraczny dom czynszowy
kupieckiej demokracji
i obliczany na rok
dom — widmo spekulacji,
i styl wasz nieczłowieczy,
dom, co domowi przeczy,
z niezdarzonej przygody,
bez serca i urody.

Trędowate przedmieścia,
izby, gdzie po dwadzieścia,
suteryna, poddasze —
i tyle było nasze.

A inaczej ze zwalisk
rośnie, by wrócić w socjalizm
dla świetlic i bibliotek
nasz staromiejski gotyk,
nasz renesans i barok,
nasz monument surowy,
nasz fronton koronkowy
jak spod igły hafciarek,
inaczej nad nim błyska
dachówka sercu bliska.

Dłoń mądrego murarza
spod rumowisk obnaża
cenniejszy od klejnotu
kamień naszego potu.
Z wiekowej go niewoli
potomna dłoń wyzwoli,
planem go uszlachetni,
włączy w plan sześcioletni
zespalaający formy,
dłoń, która łamie normy.

Na tej dłoni pisane,
jeszcze nie wyśpiewane
nowe murarskie dzieje,
wieżowce i aleje,
marzenia wzięte w tryby
żelazobetonowe,
przestrzenie kolumnowe,
stołeczne perspektywy.

Ale wpiers się odemknie
klucz zaułków, mur pęknie,
lud wejdzie do śródmieścia.
Z staromiejskiej gardzieli
wolna przestrzeń wystrzeli
i rozstąpią się przejścia
z peryferii do placów,
od fabryk do pałaców,
lud wejdzie do śródmieścia
i ustali wzdłuż Trasy,
wzdłuż Nowej Marszałkowskiej
jedność piękna i pracy,
planowania i troski.

Patrz, jak stoi uparta
na rusztowaniach partia,
rozpala się klasowa
bitwa — nasza budowa.

MORDERSTWO

Za jedno słowo: spółdzielnia,
za jedną miedzę
niezaoraną od tysiąca lat,
za jedną leninowską wiedzę,
za to, że wyrwać chciał korzeń
wessany w ziemię tuzinami łap,
zabity na traktorze,
jak wy zabici w czołgu,
on między wami padł.

Za to, że za górami Uralu
rodzi się pierwsze miasto rolników,
za to, że elektrownia na Wóldze
będzie motorem w fabryce zboża,
dopadła go zniecka,
kłoniąc go powaliła,
święconą kulą zabiła
zmowa kulacka.

Wy spod Lenino,
wy spod Warszawy,
weźcie go między siebie,
on razem z wami padł.

DROGĄ PRZEZ LAS

Jest las, jest droga w tym lesie zamierzchła,
z tropu wymarłych danieli wysnuta,
niekiedy szersza, niekiedy jak ścieżka
schodząca w parów. Wapienie w parowie
świecą się w mroku jak szkielet mamuta.
Tędy ze strzelbą jeździli panowie,
tędy się trzęsły drabinaste wozy
z chrustem kradzionym — a w tym się zawiera
przeszłość — i jeszcze tylko białe brzozy.

Tędy do szkoły dzieci na rowerach
pędzą sięgając po brzozy listek,
dziewczyny jadą na kurs traktorzystek
w las nawołując, kukułka im kuka,
tędy świat cały... O, drogo zamierzchła,
tyle nowości koło ciebie mieszka
i w tyłu sercach kukułka tu kuka!

LIST
KOMITETU CENTRALNEGO PZPR
DO TOW. FRANCISZKA FIEDLERA

Do Towarzysza Franciszka Fiedlera,
Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przesyła
Wam z okazji 70-lecia Waszych urodzin najserdeczniejsze pozdrowienia
i życzenia długich lat życia w twórczej pracy dla zwycięstwa i rozkwitu
Polski Socjalistycznej.

Przez swoją półwiekową działalność w ruchu rewolucyjnym, walczą-
cym o społeczne i narodowe wyzwolenie polskich mas pracujących, przez
swoją nieustraszoną działalność w bojowych szeregach SDKPiL, KPP,
PPR i PZPR — staliście się, Drogi Towarzyszu, żywym symbolem cią-
głości historycznej naszego ruchu, jego chlubnych tradycji, jego walk
o zwycięstwo idei Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina w Polsce.
W ciągu wielu dziesięcioleci Waszej działalności rewolucyjnej wnieśliście
poważny wkład do rozwoju naszej ideologii, do oparcia jej na jedynie
słusznych, niezłomnych podstawach marksizmu - leninizmu. Cała Wasza
działalność rewolucyjna jest potwierdzeniem nierozdzielnej łączności
polskiego ruchu rewolucyjnego z walką rosyjskiego proletariatu, ze zwy-
cięską Rewolucją Październikową, dzięki której polska klasa robotnicza
zdobyła wolność i władzę.

Dziś dzięki historycznemu zwycięstwu ZSRR nad faszystem, masy
pracujące Polski Ludowej pod przewodnictwem naszej Partii, w ostrej walce
z wrogiem klasowym — budują nową socjalistyczną Polskę. Jako jeden
z pierwszych Budowniczych Polski Ludowej i jako członek kierownictwa
partyjnego stoicie na ważnym i odpowiedzialnym posterunku kierownika
teoretycznego organu partii — „Nowych Dróg”.

Wasz hart ideologiczny, Wasza wieloletnia walka z wszelkimi odszcze-
pieńcami, z oportunistami, z wszelkimi próbami wypaczeń ideologii rewo-
lucyjnej, Wasz głęboki rewolucyjny patriotyzm i internacjonalizm,
a szczególnie Wasze przywiązanie do bohaterskiej Partii Lenina - Stalina,
kierowniczej Partii międzynarodowego ruchu robotniczego, Wasz komu-
nistyczny i głęboko wychowawczy stosunek do towarzyszy — są i będą
wzorem dla naszych kadr partyjnych.

W dniu Waszego 70-lecia zwraca się ku Wam z najgłębszym uzna-
niem cała nasza Partia, życząc Wam zdrowia w walce o pełne wyzwolenie
człowieka, o całkowite zwycięstwo Socjalizmu.

KOMITET CENTRALNY
POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ
Warszawa, 12 września 1950 r.

ZBIGNIEW PIETRASIŃSKI

W WALCE O SOCJALISTYCZNĄ PEDAGOGIKĘ

Na marginesie przekładu „Pedagogiki” Kairowa

Fakt, że rozwój świadomości opóźnia się za rozwojem bytu społecznego, aczkolwiek smutny, jest dość łatwy do zrozumienia. O wiele trudniej pojąć, dlaczego dopiero w sześć lat od chwili powstania Polski Ludowej w zakładach kształcenia nauczycieli i uniwersytetach przestaje straszny widmo podręczników pedagogiki burżuazyjnej i ukazuje się pierwszy podręcznik pedagogiki socjalistycznej w postaci tłumaczenia z rosyjskiej pracy zbiorowej pod redakcją prof. I. Kairowa pt. „Pedagogika”^{*}.

A tymczasem w sytuacji, gdy na wyższych uczelniach toczy się zacięta walka klasowa i szybka zmiana postawy ideologicznej kadry profesorskiej nie jest sprawą łatwą, jak najwcześniejsze dostarczenie marksistowskich podręczników mogło uchronić masę młodzieży, głównie tej, która studiuje nauki humanistyczne, od wielu opacznych i szkodliwych wpływów.

Oczywiście — nasi postępowi profesorowie nie mogli i nie mogą od razu zaspokoić olbrzymiego zapotrzebowania na nowe podręczniki reprezentujące konsekwentnie materialistyczne stanowisko; trzeba było jednak wcześniej, przynajmniej częściowo, zaspokoić istniejące zapotrzebowanie tłumaczeniami podręczników radzieckich, i to nie tylko z dziedziny pedagogiki, ale także prawa, historii i innych nauk. Ta sprawa została fatalnie zaniedbana. Ponieważ jednak młodzież musi się z czegoś uczyć — wznawiane były wydania podręczników przedwojennych, ukazywały się liczne książki pisane w duchu pokutujących jeszcze u nas tradycji nauki burżuazyjnej. W dziedzinie pedagogiki „Zasady nauczania” Nawroczyńskiego doczekały się między rokiem 1945 a 48 czterech nowych wydań. Autor ich, który w innym swym dziele pt. „Życie duchowe” (1947) „załatwia się” z marksizmem przy pomocy jednego kopnięcia en passant, forsując teorię, których wartość praktyczna sprowadza się do zasilania przed wzrokiem nauczycieli klasowego charakteru wychowania i do lansowania celów wychowawczych klas posiadających przy akompaniowaniu strukturalno-kulturowego bełkotu. W książce tej nie tylko twierdzi się, że sumienie wytycza cele wychowawcze, i stawia się irracjonalizm na jednej płaszczyźnie z nauką, ale i — o dziwo — przedrukowuje się jeszcze w roku 1948 za ludowe pieniądze niezum niemarkowana, endecka teza, że Rewolucja Październikowa przyniosła falę niwelującego egalitaryzmu pedagogicznego, który zmierza do „wytworzenia jednego poziomu kultury w całym społeczeństwie i wpraszowania w ten poziom wszystkiego, co wyżej strzela” („Zasady nauczania” 1948, str. 336).

Szkodliwy wpływ, jaki mają na młodzież plody nauki burżuazyjnej, polega nie tylko na forsowaniu przez nie fałszywych teorii, ale i fałszywego pojmowania pracy naukowej.

Jako jaskrawy tego przykład można uważać wydaną w r. 1949 „Pedagogikę ogólną” K. Sońnickiego. W książce tej autor bez cienia krytyki zestawia najrozmaitsze zapatrywania na podstawowe problemy pedagogiczne. M. in. z poważną miną referuje teorię wywodzące cele wychowania z natury ludzkiej, z „losu” człowieka itp. Podobny, bezkrytyczny sposób pisania w nauce burżuazyjnej uchodzi za szczyt naukowej solidności i obiektywizmu. Ciekawe światło na ów „obiektywizm” w doborze referowanych stanowisk rzuca fakt, iż autor wyżej wymienionej pracy, mimo że żyje w Polsce Ludowej, jeszcze w r. 1949 „nie zauważył” istnienia marksizmu. Wygląda to tak, jak gdyby „obiektywny astronom” zostawił czytelnikowi wolny wybór między astronomią babilończyków i astronomią Ptolemeusza, „zapomniawszy” przedstawić teorię Kopernika.

Podobne prace ukazują się jednak coraz rzadziej i można z całym przekonaniem stwierdzić, że jeśli idzie o pedagogikę, to na terenie uniwersyteckim stanowisko marksistowskie zdobyło już sobie większość wykładowców. Coraz szersze rzesze pracowników naukowych zaczynają przechodzić pozytywną ewolucję swoich poglądów spowodowaną siłą metody i teorii marksizmu-leninizmu oraz przemianami społecznymi w Polsce Ludowej.

Śledząc i popierając tę ewolucję, nie można jednak ani na chwilę zapominać o ciągłej potrzebie jak najdalej idącej czujności. Zdarza się bowiem, że klasowo wroga robota ukrywa się pod płaszczykiem postępu; bywa i tak, że dobra wola połączona z brakiem umiejętności prowadzi do takich samych skutków, co świadoma dywersja. Można spotkać wykłady poświęcone „marksistowskiej problematyce” pewnych dziedzin wiedzy, których poziom i ujęcie nie wzbudza żadnego zaufania. Można przytoczyć wypadki forsowania strupieszalych teorii burżuazyjnych pod flagą marksizmu. Tak np. w „Życiu szkoły” (nr. 4—5—1949) ukazał się artykuł dra K. Sobolskiego pod obiecującym tytułem „Przyrodnicze podstawy typologii ludzkiej w świetle ewolucyjnych koncepcji Mieczurina i Łysenki”. W artykule tym przy akompaniowaniu postępowych deklaracji (zerwanie z genetyką formalną, nawiązanie do darwinizmu, „przywiązujące zasadnicze znaczenie do wpływów otoczenia”) autor częstuje czytelnika typologią antropologiczną Czekanowskiego, opartą mocno na genetyce formalnej, nie poświęcając jej nawet słowa krytyki. Zaleca również nauczycielom, aby w antropologii szukali pomocy w kierowaniu uczniów do odpowiadających im szkół i zawodów, gdyż przynależność do pewnych typów antropologicznych ma predystynować do pewnych zawodów. Oto stare, rasistowskie sugestie, których przewyższenie jest trudniejsze od zadeklarowania postępowego stanowiska. Podobnych i trudniejszych do odszyfrowania przykładów można znaleźć więcej. Na szczęście coraz więcej jest wydawnictw, z których polski czytelnik może czerpać rzetelną, naukową wiedzę

o zagadnieniach związanych z wychowaniem.

Do nich należy przekład „Pedagogiki” pod red. Kairowa. Reprezentuje on pedagogikę socjalistyczną opartą na materialistycznym pojmowaniu życia społecznego i materialistycznej, naukowej filozofii, a więc — w przeciwieństwie do pedagogiki burżuazyjnej — system zbudowany na naukowych podstawach. Podręcznik (rozbity przez polskich wydawców na dwa tomy), składa się z trzech części: ogólne podstawy pedagogiki, dydaktyka i teoria wychowania.

Część pierwsza wprowadza czytelnika w podstawowe zagadnienia przedmiotu. Zgodnie z dialektyczną metodologią, pedagogika radziecka zrywa z właściwą burżuazyjnej pseudonauce tendencją do mówienia o wychowaniu „w ogóle”, w oderwaniu od szczegółowej analizy determinujących je warunków społeczno-ekonomicznych.

Podręcznik od początku do końca traktuje o wychowaniu w Związku Radzieckim, w warunkach rozwoju społeczeństwa socjalistycznego zmierzającego do komunizmu i przedstawia system pedagogiki radzieckiej. Pedagogika radziecka demaskuje obłudę pedagogiki burżuazyjnej, która starannie ukrywa klasowy charakter wychowania i pod pokrywką często nawet bardzo wzniosłych i ogólnoludzkich hasel pomaga wąskiej grupie wyzyskiwaczy realizować wychowanie zmierzające do utrwalenia ustroju kapitalistycznego. Marksistowska analiza rzeczywistości wykazuje niezbicie, iż rzecz najważniejsza w pedagogice — cele wychowania nie są sprawą dowolnych konstrukcji teoretycznych, lecz wyznaczane są przez obiektywny proces historyczny, przez potrzeby tej klasy, która w danym społeczeństwie jest panująca. W oparciu o analizę potrzeb i tendencji rozwojowych społeczeństwa radzieckiego, pedagogika radziecka jako cel wychowania stawia „przygotowanie wszechstronnie rozwiniętych, aktywnych budowniczych społeczeństwa komunistycznego, umięjętnych i śmiałych obrońców państwa radzieckiego”. W jednolitym procesie wychowania wyodrębnione są następujące, ściśle z sobą powiązane działy: wychowanie umysłowe, polityczne, moralne, fizyczne i estetyczne. Pedagogika radziecka uważa wychowanie i szkołę za potężne narzędzie budowy nowego społeczeństwa i wiąże je nierozdzielnie z wszystkimi potrzebami i przejawami życia Związku Radzieckiego. Tu, po raz pierwszy w dziejach, wychowanie i teoria pedagogiczna służą interesom całego społeczeństwa, a ideał wszechstronnego rozwoju osobowości uzyskał obiektywne możliwości realizacji.

Część druga, poświęcona teorii nauczania, omawia jej podstawowe pojęcia, formy organizacji pracy szkolnej, metody nauczania i sprawdzania wiadomości uczniów. Dla nauczyciela jest to prawdziwa kopalnia jasnych, praktycznych wskazań dotyczących codziennej pracy, przepojonych po mistrzowsku duchem dialektyki i wielokrotnie sprawdzonych w praktyce. Na specjalne podkreślenie zasługuje fakt, że jednym z celów nauczania w szkole radzieckiej, wiążącym się bardzo ściśle z wychowaniem moralnym, jest ukształtowanie w wychowankach naukowego poglądu na świat. Celów podobnych nie stawia szkole pedagogika burżuazyjna, gdyż sprzeciwia się temu jej niewiara w możliwości poznawcze człowieka i obowiązek krzewienia tej niewiary.

Zagadnienia omawiane w trzeciej części książki (tom II), poświęconej teorii wychowania, należą do najbardziej interesujących i ważnych dla szerokiego ogółu czytelników. Są tu przedstawione istota i metody wychowania moralnego, estetycznego i fizycznego oraz zagadnienia kształtowania charakteru i materialistycznego poglądu na świat. Specjalne rozdziały poświęcone są organizacji zespołu uczniowskiego, szkolnym organizacjom młodzieżowym, pracy pozaszkolnej i pozaszkolnej, roli nauczyciela. Celem wychowania moralnego, jaki stawia sobie szkoła radziecka, jest kształtowanie radzieckiego patriotyzmu i poczucia solidarności z masami pracującymi całego świata, humanistycznego stosunku do ludzi pracy, umięjętności współdziałania z kolektywem, socjalistycznego stosunku do pracy i własności społecznej, świadomej dyscypliny oraz energii, odwagi i wytrwałości w pracy i walce dla sprawy socjalizmu. Na specjalną uwagę polskiego czytelnika zasługują wielki nacisk, jaki w szkolnictwie radzieckim kładzie się na polityczne wychowanie młodzieży będącej jednym z elementów wychowania moralnego i umysłowego. W przeciwieństwie bowiem do ustroju kapitalistycznego, którego siła związana jest z topotą polityczną mas, społeczeństwo socjalistyczne czerpie

swą siłę z głębokiej świadomości politycznej najszerzych mas ludowych. Wypływają stąd duże wymagania pod adresem postawy i aktywności politycznej nauczyciela.

Cały podręcznik napisany jest jasnym, zwięzłym stylem i zawiera takie bogactwo treści, że niepodobna sił się na jej wyczerpujące omówienie w krótkim artykule. Czytelnik w wielu miejscach z zalem musi stwierdzić, że autorzy nazbyt skrótkowo omawiają bardzo ważne zagadnienia.

Sposób, w jaki omawiana książka została wydana przez „Naszą Księgarnię”, stoi w wielkiej sprzeczności z jej znaczeniem i jest dalszym przykładem karygodnego niedbalstwa czynników, odpowiedzialnych za udzielanie naszym wychowawcom pomocy w przyswajaniu sobie socjalistycznej wiedzy i postawy w pracy. Język przekładu jest fatalny. Roj się w nim od błędów językowych i rzeczowych (np. „czertywoli” tłumaczy się przez „zalety woli” itp.). Książka nie została zaopatrzona przez wydawców nawet najskromniejszym wstępem. Kierunek rozwoju Polski Ludowej, a co za tym idzie, i cele wychowawcze są te same, co Związku Radzieckiego, to też podstawowe tezy omawianego podręcznika odnoszą się również do wychowania w naszym kraju; niemniej jednak wychowanie w Polsce Ludowej odbywa się w nieco innych warunkach i posiada szereg specyficznych problemów. Następnie „Pedagogika” pod redakcją Kairowa, napisana dla studentów radzieckich, zakłada u czytelnika dużą znajomość marksizmu, dlatego niektóre jej twierdzenia nieprzygotowanemu czytelnikowi polskiemu mogą się wydawać niezrozumiałe i apodyktyczne. Tak np. w tomie I, str. 37, autorzy stwierdzają, iż Lenin uzasadnił tezę o klasowym charakterze nauki, i przechodzą bezpośrednio do formułowania wniosków, jakie stąd wypływają dla pedagogiki radzieckiej. Należy wątpić, aby czytelnik, który nie zna bliższego uzasadnienia tej tezy, dobrze pojął, że wnioski te są nieuniknioną konsekwencją naukowego podejścia do problemu społecznych uwarunkowań nauki i wychowania.

W naszych warunkach, gdy na terenie wychowania toczy się zacięta walka klasowa, specjalnie ważna jest polemika z kierunkami pedagogiki burżuazyjnej, która do niedawna panowała u nas niepodzielnie. Polemiki tej, ze względu na mniejszą jej aktualność w Związku Radzieckim, podręcznik w zasadzie nie daje, ograniczając się do szeregu lakonicznych uwag. Ten brak utrudnia również zrozumienie istoty i wyższości pedagogiki opartej na teorii marksizmu-leninizmu.

Również cały szereg zagadnień, związanych z organizacją szkolnictwa, programami nauczania, tradycjami wychowawczymi i t. p. wymaga specjalnego oświetlenia. Zadania te mógł w pewnej mierze spełnić odpowiednio opracowany wstęp. W warunkach, kiedy podręcznik ten będzie służył szerokim rzeszom nauczycieli w indywidualnym samokształceniu, niezmięszczenie takiego wprowadzającego wstęp jest równoznaczne z mechanicznym przenoszeniem niezwykle wartościowej dla nas teorii wyrosłej z potrzeb zmierzającego już do komunizmu Związku Radzieckiego na teren kraju budującego dopiero podstawy socjalizmu.

Jest rzeczą oczywistą, że w oparciu o zdobycze pedagogiki radzieckiej w najbliższym czasie powinien zostać opracowany polski podręcznik pedagogiki socjalistycznej uwzględniający warunki i potrzeby wychowania w Polsce Ludowej. Nieodzowne jest również wydanie jak największej ilości nowych tłumaczeń radzieckich prac z dziedziny pedagogiki, ponieważ przetłumaczony podręcznik daje nam zaledwie bardzo ogólne, encyklopedyczne wyobrażenie o dorobku myśli marksistowskiej w tej tak ważnej dziedzinie. Jest to sprawa istotna nie tylko dla zawodowych wychowawców. Bo jak słusznie stwierdzają autorzy omawianej pracy, „pedagogika należy do tych nauk, których znajomość jest nieodzowna nie tylko dla pedagogów specjalistów, lecz i dla każdego człowieka, gdyż każdy w jakiś sposób spotyka się w życiu z zagadnieniami wychowania dzieci i musi ustosunkować się do nich w sposób odpowiedzialny. Wychowanie dorastających pokoleń — to tak wielka i ważna dziedzina życia społecznego, że brak wiadomości pedagogicznych jest istotną luką w rozwoju kulturalnym człowieka...”.

Dziś, kiedy w wyniku obalenia kapitalizmu dokonują się u nas olbrzymie, obejmujące cały naród procesy wychowawcze na skalę nieznaną dotychczas w naszej historii — szeroka popularyzacja wiedzy o socjalistycznym wychowaniu ma specjalne, ogromnie doniosłe znaczenie.

Zbigniew Pietrański

SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE FRANCISZKA FIEDLERA

12 b. m. minęło siedemdziesięciolecie urodzin towarzysza Franciszka Fiedlera, członka Zarządu Głównego SDKPiL, Komitetu Centralnego KPP i Komitetu Centralnego PPR, wreszcie Komitetu Centralnego PZPR i redaktora naczelnego „Nowych Dróg”, odznaczonego za zasługi w walce rewolucyjnej orderem Budowniczego Polski Ludowej i Wielką Wstęgą Orderu Odrodzenia Polski.

Od wczesnej młodości towarzysz Fiedler stanął w zorganizowanych szeregach socjalistycznej armii proletariatu — jako członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Drogę życia Fiedlera-rewolucjonisty znaczy walka z caratem a później z okupantem niemieckim podczas pierwszej wojny światowej, walka z polską burżuazją, która w rządach zaborczych znajdowała zawsze oparcie dla swego panowania klasowego i ze swej strony była dla nich wierną podporą, by potem — w okresie międzywojennym — swoimi rządami ucisku i terronu doprowadzić kraj do katastrofy wrześniowej i oddać go na pastwę Hitlera. I oto podczas wojny, Franciszek Fiedler, na ziemi francuskiej, w szeregach tamtejszego Ruchu Oporu walczy o wyzwolenie ojczyzny z hitlerowskiego jarzma.

Więzień Cytadeli i Mokotowa, Dąbia i Wronek, Pawiaka i Hawelbergu — Franciszek Fiedler należał zawsze do tych, którzy w polskim ruchu robotniczym reprezentowali konsekwentnie klasową postawę i wiernie strzegli czystości jego marksistowskiej ideologii. W szczególności w okresie międzywojennym, jako członek kierownictwa KPP i redakcji teoretycznego organu partii, „Nowego Przeglądu”, położył ogromne zasługi w torowaniu leninizmowi drogi do świadomości polskiego proletariatu. Pracami swymi — np. z historią stosunków agrarnych w zaborze rosyjskim i innymi — waleśnie dopomógł naszemu ruchowi w przewyższeniu pozostałości luksemburgizmu. Wybitny teoretyk marksizmu i historyk, znakomity publicysta, Franciszek Fiedler dziś — jako redaktor naczelny teoretycznego organu KC — nadal służy sprawie, z którą związał swe życie. Jego rewolucyjny zapał i niezłomna wierność komunistycznemu ideałowi jest przykładem dla nas, młodych i najmłodszych.

JERZY MILLER

DZIEWCZĘTA KOREI

Nie wychodźcie z lasów na pola,
omijajcie zdala polany!
Strzeżcie się! Wodę w wodopojach
krew jak rafa koralu plami.

I dziewczęta Korei, nie płacźcie!
Do rzeki nie rońcie łez,
nie otworzycie przecze
najmłodszej oczu i ust.

Nie zbudź jej powiew wiatru
i wody nie ocuci chłust.
Daremnie wołasz matko —
nie wstanie! Nie wołaj: — wróć!

Trzymajcie się blisko drzew,
nie chodźcie na wydmy słoneczne,
na jasny, widoczny brzeg,
na łachy piaszczyste, bezdrzewne.

Zastrzeloną rybak wyłowili,
na rzece Naktong, wśród mielizn.
Na brzegu w pobliżu sitowia
grób liliami wyścielił.

Dziewczęta Korei, nie płacźcie!
Koszule rwijcie na bandaże,
bandaże potrzebne w walce,
zbierajcie bawełnę na gazę!

ŚMIERĆ KOMUNISTY OPLAKUJECIE WALKĄ

(fragmenty poematu)

Noc walki! W kopalniach zmagają się głosy:
— Jutro w Ougrée
wiec! W Borinage — meeting! —
I nikną postacie w ciemności
chodników.

O szóstej wygaśnie wielki piec
i zatrzymają się dźwigi i ekskawatory:
— Zedrżemy z was wilczą sierść,
fabrykancie! Nie wstydź się! Stań nagli!
I opowiedz, komu sprzedałeś wczoraj
naszą krew, naszą pracę i odwagę! —

Noc ciszy — czy noc boju
rwie się ku światłu
i mięśniom nie pozwala zwiotczeć!
— Proletariuszu! Partia
twoją
rozświetli noc
i wtłoczy
tlen do przygniecionych płuc.

Z obuwia kropłe deszczu wiatr
postrzącał. Policjant usnął.
Musi spać! Tam — nie chodź,
choćby padł strzał
i w mieście pustym
zabrzmiało po wielokroć echo!

Noc walki rozgromiła ciszę
i jak wąż podpełzła ku sercu
przekazując w niedomkniętych
drzwiach, aby choć kropkę krwi
z ziemistej twarzy wyssać,
ale nie doszukała się tętna.

Od lat tropili go agenci,
od lat
grozili mu prowokatorzy,
lecz serce z piersi
jedynie śmierć mogła
wydrzeć — nie strwożyć!
Wiedzieli o tym,
do gardła
sięgając by je zdławić,
gdy nie pomogło złoto.
Myśleli: — Wystarczy go zabić,
aby Partia umarła.

W Antwerpii strajkują dokerzy
I rdzewieje broń wystawiona na deszcz
— Towarzysz Laland!
Lahaut napewno by się cieszył,
że walką oplakujecie Jego śmierć.

Z Tomu Wierszy, który ukaże się nakładem „Czytelnika”.

WIELKI KONKURS „SZTANDARU MŁODYCH”

na powieść, nowelę i opowiadanie

Redakcja „Sztandaru Młodych” ogłosiła konkurs otwarty na powieść, nowelę lub opowiadanie.

Tematem prac konkursowych mają być tradycje młodzieży walczącej w szeregach KZMP, a później ZWM i AL, przeciwko faszyzmowi, oraz praca młodzieży przy odbudowie i budowie Polski Ludowej, jej udział w walce o spóldzielczość produkcyjną na wsi, we współzawodnictwie pracy itp.

Rozmiar i forma utworów konkursowych — dowolna.

Termin dostarczania prac konkursowych upływa z dniem 1 marca 1951 roku.

Jury konkursu przynajmniej jednym wyróżniających się prac następujące nagrody:

I nagroda — 200.000 zł.
Dwie II nagrody po 100.000 zł.
Trzy III nagrody po 50.000 zł.
oraz 100 nagród książkowych.

Redakcja „Sztandaru Młodych” zajmie się wydaniem zasługujących na to utworów, oraz otoczy specjalną opieką autorów prac świadczących o talencie pisarskim.

* Nasza Księgarnia, 1950. 2 tomy.

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Nie zna granic ni kordonów...

I

Pociąg specjalny, wiozący polską delegację na II Kongres Międzynarodowego Związku Studentów, szedł do Pragi „zieloną ulicą”, nigdzie po drodze nie zapknięto na ręczce semafora czerwone światło sygnalizujące zamknięty przejazd.

Nie wszystkie delegacje podróżowały do Pragi specjalnymi pociągami; delegat Malajów maszerował miesiąc piechotą, zanim jako pasażer na gapę wsiadł na okręt; pieszo rozpoznał wędrowną Vietnamszczyznę i Indonezyjczyce; studenci Argentyny i Kuby odpiłynęli do Europy z turystycznymi paszportami opiewającymi na Włochy; jak przedostał się przez granicę obstawioną zandarmami faszystowskiego kacyka Malana demokratyczny delegat Południowej Afryki? Prawda podróżuje bez wazy, powiedział Joliot. Bez wiz podróżują ludzie walczący o prawdę. Zdzierają stopy do krwi, głodują, zaszywają się w najciemniejsze zakamarki handlowych parowców, idą, jadą, płyną już w maju, już w czerwcu, kiedy dla nas Kongres jest jeszcze czymś bardzo odległym, nasz pociąg specjalny odjedzie z Otwocka dopiero dwunastego sierpnia.



Przewodniczący delegacji koreańskiej pplk. Kan-Buk

W czerwcu zdajemy w Polsce egzaminy; w czerwcu jeden z delegatów koreańskich siedzi jeszcze w seulskim więzieniu, pod koniec czerwca inni delegaci koreańscy opuszczają uczelnie i idą w pole nad 38 równoleżnik bronić swej ojczyzny przed najazdem imperialistów; w czerwcu delegat Brazylii obrywa pałąk gumową po głowie w czasie studenckiej manifestacji pokojowej; w czerwcu policja de Gasperięgo aresztuje młodzieńckiego delegata włoskiego za zbieranie podpisów pod Apellem Sztokholmskim; w czerwcu delegat chiński chodzi od wioski do wioski z elementarzem — Chińczycy wyjadą do Pragi w ostatnich dniach lipca. Z najdłuższych tras będzie to trasa najpiękniejsza: wiele tysięcy kilometrów, wiele dni i nocy jazdy po swobodnej ziemi. Jaka wspaniała odległość, powiedzą na dworcu Wilsona w Pradze, jaki kawał kuli ziemskiej należy do wolnych ludzi! Z Indii jest bliżej do Pragi niż do Pekinu, ale „są kilometry, które wagać tony” — mówi radziecki poeta Mieżirow. Już w czerwcu delegaci hinduscy koczują w porcie, oczekując na statek, już w czerwcu trwa Odyseja kolonialnych studentów, wyruszających na Kongres.

II

14 sierpnia spotykamy się wszyscy pod szklanym dachem Przemysłowego Pawilonu na Starej Wystawie. Proporzycy siedemdziesięciu ośmiu krajów zdołają najwyższe piętro trybuny, która dla niejednego delegata będzie pierwszą wolną trybuną w życiu. W olbrzymiej jak dworzec kolejowy hali w blasku słońca i jupiterów filmowych, jarzących się na wysokich pomostach, przy dźwiękach sygnału stanowiącego początek pieśni, która jest „przeciw pozarom i wojnie”, rozpoczyna obrady studencki parlament świata.

Jest nas tutaj ośmiuset sześćdziesięciu delegatów reprezentujących ponad pięć milionów studiującej młodzieży. W delegacji radzieckiej, składającej się z przedstawicieli wszystkich republik związkowych — dwaj bohaterowie Związku, jeden z nich — Bunow — brał udział w walkach o wyzwolenie Pragi; przedstawicielka Uzbekistanu, studentka instytutu agrotechnicznego w Taszkencie, jest Bohaterem Pracy Socjalistycznej; przedstawiciel Gruzji — to dwudziestoletni doktor nauk matematyczno-fizycznych; delegatem jest również Tamara Gusiewa, młodzieńca pianistka, laureatka Międzynarodowego Konkursu Szopenowskiego w Warszawie.

Przewodniczący delegacji koreańskiej podpułkownik Kan-Buk, absolwent Wyższej Szkoły Politycznej w Phenianie, zgłosił się ochotniczo do Armii Ludowej, odpierającej interwencję imperialistów; również jako ochotnik walczył przeciw najeźdźcom porucznik Kim-Be-Chym, w przeszłości niewykwalifikowany robotnik, obecnie student politechniki.

Delegaci Chin Ludowych noszą szare, płócienne bluzy: to zdembilizowani żołnierze zwycięskiej armii rewolucyjnej, ustrój demokracji ludowej wprowadził ich na wyższe uczelnie. /schodzące słońce złości się na rekawach niemieckich studentów w FDJ, jutrzenka stała się herbem wolnej młodzieży niemieckiej, walczącej przeciw wszelkim próbom odrodzenia nazistowskiej nocy. Włosy w pomarańczowych, błękitnych i zielonych pierogach obwieszonych jak choinki rozmaitymi świecidełkami, mają w swojej delegacji byłych partyzantów, wszyscy są aktywnymi bojownikami o pokój, wyróżnionymi w akcji zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim. Naszymi sąsiadami na sali są Vietnamszczyznicy, wątl, drobni jak dzieci, Claudel błobostawili spadochroniarzy dokonujących zamachu na ich wolność, podpalających ich wioski i rozstrzelujących cywilną ludność; na trybunie Kongresu francuscy koleżki uścisną ich dłonie w braterskim pozdrowie-

niu, duch międzynarodowej solidarności w walce o pokój i postęp społeczny zapanuje niepodzielnie w tym zbiorowisku młodzieży rozmawiającej wieloma językami, śpiewającej jedną pieśń.

III

Opowiadanie Kan-Buka było opowiadaniem o polskim wrześniu 1939 roku. Jak piraci z Luftwaffe, grasujący wówczas po naszym niebie, amerykańscy gangsterzy powietrzeni wależą się dzisiaj po niebiosach Korei, zrzucając bomby na szpitale i szkoły, rozstrzelują z karabinów maszynowych chłopów pracujących w polu, mordują dzieci bawiące się na łąkach. Ale opowiadanie Kan-Buka było równocześnie opowieścią o zwycięstwie, faszystowskiej interwencji potrafią połować na ludzi, nie są jednak w stanie dotrzeć do placu narodowy walczącemu o swoją niezawisłość.

Kiedy Kan-Buk skończył przemawiać, wbiegli na trybunę demokratyczni studenci amerykańscy. Za kwiaty, które wręczyli koreańskiemu pułkownikowi, zapłacą po powrocie do Stanów więzieniem, ich ręce, białe i czarne ręce, które uścisnęły dłoń Koreńczyka, zostaną zakute w kajdanki, ale nie

Do Vietnamszczyków pierwsi podbiegli Francuzi, do Indonezyjczyków — Holendrzy. Po przemówieniu delegata polskiego przy naszym stole pierwsi zjawili się Niemcy. Ten wspaniały nastrój braterstwa, królujący na obradach Kongresu, udowodnił światu, że młodzież studiująca, wierna masom ludowym swych krajów, przeciwstawi się obozowi wojny i rozboju, że uniwersytety nie wyruszą burzyć uniwersytetów.

IV

Międzynarodowy Związek Studentów powstał w tej samej Złotej Pradze w roku 1946, liczył wówczas 1.500.000 członków z 38 państw. Na II Kongres przybyli, jak już podawałem, delegaci 78 państw, reprezentujący ponad 5 milionów studentów. Konstytucja MZS, uchwalona przed czterema laty, wzywała studentów całego świata do zjednoczenia się w walce o trwałą pokój, niezawisłość narodową, demokratyzację nauczania i lepszą przyszłość. Wierny ideałom zawartym w Konstytucji, Międzynarodowy Związek Studentów stał się w ciągu czterech lat swego istnienia potężną organizacją jednoczącą wszystkich postępowych studentów kuli ziemskiej. Związek przystąpił do wielkiej akcji obrońców pokoju, poparł Apel Sztokholmski, popiera walkę ludów kolonialnych o wyzwolenie, walczy przeciw faszyzacji krajów ujarzmionych przez imperializm, przeciw militarystyce nauczania, przeciw uciskowi człowieka przez człowieka.

W sprawozdaniu Komitetu Wykonawczego, wygłoszonym przez Przewodniczącego MZS Józefa Grohmana, znalazł się szereg faktów świadczących o tym, że tylko w Związku Radzieckim i państwach demokracji ludowej myśli naukowa rozwija się swobodnie, wydatki na oświatę wzrastają z roku na rok, a słuchacze wyższych uczelni korzystają z pełni praw obywatelskich i studenckich. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w państwach zależnych i kolonialnych nauka zaprzęta do karawanu imperialistycznej ideologii karleje i wyraża się w apoteozę barbarzyństwa, budżety wojenne obcinają nieustannie dotacje na oświatę, a studenci podlegają dyskryminacji społecznej i rasowej, żyją w nędzy, są nieraz ofiarami policyjnego terroru, często nawet celem policyjnych salw karabinowych.

Dyskusja nad sprawozdaniem była — można powiedzieć — chorałym wystąpieniem przedstawicieli ludów kolonialnych, ludów uciśnionych lub zaatakowanych przez imperializm. Delegaci Indonezji i Vietnamu, Kuby i Porto-Rico, Nigerii i Cejlonu, Południowej i Zachodniej Afryki wstępowali kolejno na tę bajeczną mównicę, z której głos prawdy brzmiał bez przeszkód, donośnie jak dzwon. Ich wypowiedzi sumowały się w poezyjny obraz „anglosaskiego ładu”, ale równocześnie były płomiennym wyrazem wyzwolenczego ruchu ogarniającego masy ludowe wszędzie, gdzie zdeptana i opluta jest godność człowieka. A kiedy na trybunę wchodził reprezentanci wolnych narodów, tamci słuchali ich sprawozdań jak baśni o przyszłych dniach.

W tym czasie, kiedy w Warszawie...

Nie obeszło się bez prowokacyjnych prób obalenia Konstytucji MZS przez „opozycję”, pragnącą ograniczyć działalność Związku do turystyki. Kto stanowił tę tzw. „opozycję”? Narodowy Związek Studentów Wielkiej Brytanii, od dłuższego już czasu sabotujący — wbrew życzeniom i interesom większości studentów angielskich — wszelkie poczynania MZS, zmierzające do utrwalenia pokoju i poprawy bytu młodzieży studiującej, wystąpił na Kongresie przeciw polityczności (czytaj: działalności w obronie pokoju) Komitetu Wykonawczego. „Apolityczny” prezes NZS Wielkiej Brytanii, pan Jenkins chce jednolicie między studentami całego świata budować nie w oparciu o Apel Sztokholmski, a jedynie na bazie letnich ekskursji. Jenkins jest z podobną turystą, osobliwym turystą: lubi podróże do obozów koncentracyjnych, ostatnio zwiedził legry faszystowskiej Ju-



Delegacji USA podnoszą w górę delegata Chin Ludowych

PIĘCIOLECIE ŚMIERCI STEFANA JARACZA



Sztuka aktorska, jak każda inna, jest sztuką twórczą. Aktor, podobnie jak pisarz czy malarz, sięga do swojej wyobraźni, aby zaludnić świat postaciami zrodzonymi ze swych myśli, pragnień i przeżyć. Dlatego aktor swym dziełem aktorskim, swymi kreacjami oddziaływa na odbiorcę nie tylko jako wykonawca dramatis personae, lecz sam, własną siłą twórczą przedstawia mu świat — świat ludzi i zdarzeń, tragicznych lub śmiesznych, ukazujących człowieka w rozległym wymiarze dramatycznej kompozycji.

Stefan Jaracz był jednym z największych twórców w historii polskiego teatru. Swą grą aktorską wznosił się nieraz ponad utwór sceniczny, a często — właśnie swą grą — ów utwór podwyższał, jakby zrównując go z swym wielkim, wspaniałym talentem. Był nie tylko twórcą ról, który powoływał do życia postacie ludzkie, lecz również inscenizatorem, twórcą widowisk, kierownikiem teatru. Był wreszcie niezłomnym, żarliwym wychowawcą młodych. Policzmy współczesnych artystów scen polskich, którzy przeszli przez szkołę Jaracza: doliczymy się sporej i wybitnej kadry.

Z jakich źródeł, z jakich formacji i warstw wyphywał talent Jaracza? Talent artysty, reżysera i wychowawcy? Brak nam monografii o jego życiu i dziele, brak

nam czasem nawet ściśle ustalonych dat czy faktów. Ale pamiętamy przecież jego kreacje, repertuar teatru „Ateneum”, znamy również wypowiedzi Jaracza z opowiadań jego współpracowników, z prasy, czy wreszcie z anegdot. W wszystkie te wspomnienia, notatki, zachowana i przekazana pamięć o wielkim artyście, rysują nam jego postać prostą, jednoznaczną linią. Widzimy w nim Jaracza — bojownika ludowego teatru, Jaracza — twórcę widowisk przenikniętych postępową, demokratyczną ideą sprawiedliwości, walki z przemocą i wyzyskiem; Jaracza — kochającego prostych ludzi, z którymi współczuł i których bronił każdą swą niezapomnianą rolą.

Uplwya pięć lat od jego śmierci. Zmarł jako ofiara faszyzmu, którego przez całe życie nienawidził. W faszyzmie dostrzegł śmiertelne niebezpieczeństwo dla sztuki, o którą walczył: dla sztuki pracującego, sprawiedliwego narodu, sztuki głoszącej postęp, sprawiedliwość i pokój.

Po Stefanie Jaraczu, męczonym w Oświęcimiu przez hitlerizm, pozostało w polskim teatrze niezastąpione, opustoszałe miejsce. Zapewne wiele jeszcze czasu upłynie, zanim praca i wysiłek ludzi naszej sceny zdołają zagoić tę ranę. I niewątpliwie w tej pracy wielkim wzorem będzie Jego życie, będą Jego idee i twórczość.

VI

gostawii. Trzeba bowiem wiedzieć, że „apolityczny” Jenkins jest fanatycznym adwokatem Tita i titowskiej agentury młodzieżowej, usuniętej z MZS. W swoim raporcie z przejazdu po titowskich obozach śmierci z uznaniem wyraża się on o tych katowniach, w których pokazano mu... orkiestry. W Polsce, gdzie w piecach Majdanka i Oświęcimia miliony ludzi spalono przy dźwiękach wojskowych marszów, raport nie wymaga chyba komentarza.

Na dowód postępowej działalności NZS Wielkiej Brytanii Jenkins przytoczył fakt przesłania pewnej ilości książek do Południowej Afryki... dla kogo? Oczywiście dla tych studentów, którzy są synami kolonizatorów. Później reakcyjny delegat Południowej Afryki, typowy plantatorski synek, długo i wylewnie dziękował za ów dar. Tak wygląda pomoc, okazywana ludom kolonialnym przez NZS Wielkiej Brytanii.

Jenkinsowi dzielnie sekundował mister Henderson, szef delegacji szkockiej, wyróżniającej się mantylami buraczkowego koloru i apatią, rzadką u młodych ludzi. Tych dwóch podtrząsał obserwator z ramienia NZS Stanów Zjednoczonych, młodzian o wyglądzie początkującego esesmana nazwiskiem West.

Prowokacja „nie wyszła” jednak. Demokratyczni studenci brytyjscy poinformowali Kongres o przebiegu akcji zbierania podpisów pod Apellem Sztokholmskim na wyższych uczelniach Anglii: większość studentów brytyjskich podpisała już Apel wbrew dyrektywom NZS. Jedyny Murzyn w delegacji Na-

rodowego Związku Studentów Anglii wygłosił ostatniego dnia Kongresu przemówienie, w którym odczytał o polityki Jenkinsa, podobnie „urwał się” jeden z Szkotów (apatyczny koleżdy, ożywiwszy się nagle, zdarzył z niego buraczkową mantylę za to, że śmiał oklaskiwać Koreńczyka).

Złota Praga, gościnna Praga, miasto barokowych pałaców i wesołej, błękitnobłęwej młodzieży, słoneczna Praga z dni Kongresu będzie dla delegatów wracających w noc tyranii marzeniem o przyszłości, marzeniem, które widzieli na własne oczy. Tutaj Erenburg i Bernal mówili im o miłości do ludzi (za słuchanie takich rzeczy u siebie w domu dostaje się pałąk gumowy po głowie) i nikt nie ściągnął Erenburga ani Bernala z trybuny; tutaj oni sami zabierali głos, oklaskiwano ich słowa, nie szli do więzienia, skopani przez zandarma; tutaj biali, żółci i czarni mieszkali w tej samej bursie, jeździli tymi samymi autobusami, jadaliby przy tym samym stole, a wieczorami na wielkiej estradzie Indonezyjczycy tańczyli w liliowym blasku reflektorów swój narodowy taniec ze świecami, Murzyni, bijąc pięściami w pomalowane jaskrawo kotły, śpiewali „Kuri-Kuri” — skoczną piosenkę nigeryjską, publiczność szalała, a czarni studenci płakali, bo wolność po raz pierwszy była tak blisko nich w owe ciepłe, praskie wieczory.

My, którzy wracamy do krajów szczęśliwych, bądźmy czujni.

Krzysztof Gruszczyński



Na Międzynarodowym Kongresie Studentów przemawiał również wybitny bojownik pokoju ks. Boulier. Ostatnio arcybiskup Paryża Felin, znany kolaborantem z czasów okupacji, za jego walkę w obronie pokoju zabronił księdzu Boulierowi pełnienia obowiązków kapłańskich

Było wrześnie niedzielne popołudnie. W podworskich czworakach w Modelu, w których gnieździł się jeszcze i członkowie Spółdzielni i dwu prywatnych gospodarzy, byłych fernali dworskich, którzy do Spółdzielni dotąd nie przystąpili — panował spokój. Spółdzielcy z żonami i dziećmi, przedszkolanki, nauczyciel — cała prawie wieś wyszła na szosę, żeby odprowadzić wracającą do Warszawy ekipę łączności miasta ze wsia. Grupa lotników i robotników warszawskiej gazowni przyjechała do Modela wczesnym rankiem, przywiozła bibliotekę i deski, z których na miejscu zmagistrowała ławki do świeżo zainstalowanego na terenie Spółdzielni kina.

Zostańcie jeszcze na pokazie — prosił kapitana Burczaka Józek Jaros. Zaprzyjaźnił się z kierownikiem ekipy lotników i ciężko mu było z nim się rozstać. Od kilku tygodni lotnicy z Warszawy przyjeżdżali co niedzielę do Spółdzielni i Józek miał już z Burczakiem wspólne sekrety.

Jutro rano musimy wszyscy być przy pracy — odpowiedział kapitan Burczak, zwracając się do stojącego w środku gromady przewodniczącego Spółdzielni, Lorentza. Burczak trzymał za rękę Józka, ale z odpowiedzią zwrócił się do Lorentza. Dorzucił jeszcze:

— Wypoczęci!

— I punktualnie — roześmiał się ktoś z cywilnych członków ekipy.

— Wieczorem kino, po kinie — ani chybi — zaprosicie na kwaśne mleko — kiedy wrócimy do domu?

Lorentz, szczupły, raczej niski, nieśmiały w ruchach, uśmiechnął się dobrodusznie:

— Prawda, 130 kilometrów to kawał drogi.

Szoferzy zapuścili silniki, dwie ciężarówki zapelnily się szybko ludźmi i po minucie — ostatnie uściski dloni, ostatnie pokrząki — gęsty obłok kurzu przysłonił odjeżdżających.

Nikt już nawet nie próbował ich zęgnąć: kilka wyciągniętych rąk opuściło się powoli — poprzez kłęby kurzu ci tam na ciężarówkach nie dojrzą przecież tych powiewających dloni.

Przeczekali chwilę, i całą gromadą, jakby się zwołili uprzednio, ruszyli w kierunku nowych domów mieszkalnych, których budowę mieli nadzieję wykończyć jeszcze przed nastaniem zimy.

Tyla roboty, tyła roboty — tragizował na swój stary sposób Kazimierz Durka. Chwytał przy tym obiema rękoma kryzy kapelusza, zdejmował go z głowy, nasadzał z powrotem.

Lorentz śmiał się:

— Przecie za trzy czy cztery tygodnie i studnie będą gotowe, i światło, i meble nawet z Centrali przyjadą. „Tyla roboty, tyła roboty“ — przedrzeźniał.

— E, nie o tym mówię — obruszył się Durka. — Droga! To jest droga?!

Zatrzymali się na chwilę. Samochodów nie było już widać. Kurz rozsnuwał się warstwą po kartofliskach i zoranich polach, a daleko na horyzoncie wypełniał gęstą masą szpaler przydrożnych drzew.

— No i racja — przytaknął Lorentz. — Do tej drogi też przyjdzie nam się zabrać. Ale po kolei. Nie teraz...

Zatoczył ręką koło:

— ...i razem z całą gminą. Józek odłączył się od gromady. Ominął mur okalający zabudowania podworskie i szedł w stronę czworaków.

Burczak powtórzył mu dziś raz jeszcze: chcesz być lotnikiem — popracuj w POM-ie. Ośwoisz się z maszynami, nauczysz się traktora, kurs skończysz — maszynę trzeba znać i lubić.

Teraz cała nadzieja w „wujku“ — jest przecież wartownikiem w POM-ie. Pomocze mu chyba w dostaniu tej pracy.

Józek odsuwał od siebie myśl o domu, o ojcu. Nie chciał o tym myśleć — głową muru nie przebijesz a rozbić ją o mur łatwo.

Ojciec był dziś bardziej rozsierdzony niż zwykle w podobnych okolicznościach. Od rana przytupywał drewnianą nogą w podłogę, za każdym razem trzykrotnie, miarowo, z uporem. To znów zrywał się z zydła, podchodził do łózka lub stołu, wypatrywał czegoś — i wracał z powrotem na swój posturunek w rogu izby, tuż przy otwartych na oścież drzwiach. Bardziej jeszcze rozdrażniony, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Tuż po wyzwoleniu ojciec zaczął się skarżyć na ból w lewej stopie. Z każdym miesiącem było z nim gorzej, w końcu stopa szczytna zupełnie, uschła — w szpitalu w Warszawie ucięto mu nogę powyżej kolana. Po operacji i sprawieniu protezy ojciec czuł się znakomicie. Był ruchliwy jak przedtem, na wszystko starczyło mu ochoty.

Elekroć jednak coś ojca gryzło — kikut lewej nogi zaczynał drgać, s'ary skarżył się na silne bóle i często wpadał we wściekłość.

Od czasu jak w ich wsi powstała Spółdzielnia, do której ojciec nie przystąpił — napady bólów w okaleczanej nodze i ataki wściekłości powtarzały się coraz częściej. Ojciec mówił, że to przy złej pogodzie — ale Józek od dawna już rozumiał, że ta „zła pogoda“ trafia się regularnie co niedzieli, kiedy do wsi przyjeżdża robotnicza lub żołnierska ekipa łączności, albo w czas robót polnych, kiedy z POM-u w Lwówku nadciągają traktory.



ANDRZEJ KRUCZKOWSKI

oprowadzaniu krów, wykonywał bez sprzeciwu wszystkie polecenia starszego brata i siostry, a każdą wolną chwilę spędzał w obejściu „wujka“ Wiśniewskiego, do którego i traktorzysta Adamczyk często po pracy zachodził.

Wiśniewski, szczupły, wysuszony, dziś już prawie sześćdziesięcioletni, przez całe życie był fernalem. Ale po wyzwoleniu ziemi z reformy rolnej wziął nie chciał — „pół morgi ogrodu dla mnie starego starczy?“ — do syna, kapitana urzędu bezpieczeństwa w Sosnowcu, ani do córki, robotnicy w wielkiej tkalni łódzkiej, też jechać nie chciał. Został „na swoim“ — w małej izdebce w czworakach, z jednym świniakiem w szopie na podwórzu i trzema psami niewiadomej rasy. Pracował czas jakiś w młynie spółdzielczym jako magazynier, a od czasu powstania Państwowego Ośrodka Maszynowego w Lwówku został tam wartownikiem.

Józek zatrzymał się, przyglądał ciałem do drzew przydrożnej topoli i wyjrzał w stronę ojcowiskiego obejścia. Chciał się upewnić, czy ojciec siedzi w progach chaty. Uspokojony, przebiegł szybko w poprzek

o latach, że nie masz jeszcze szesnastu, wcale nie wspominałem. To już twoja głowa, rób żeby było dobrze.

Józek nie ruszył się z miejsca przez dłuższą chwilę. Tepo patrzył w ziemię. Potem wybiegł szybko z izby, przyniósł spory kociołek, nasyłał doń ziemniaków, ustawił na palenisku, dolał jeszcze wody do kociołka i wyleciał z powrotem w obejście. Po chwili wrócił z naczyniem drewnianym.

— Zostaw to już! Sam rozpalę.

— O której rozpoczyna się kino — rzucił jeszcze za wychodzącym już z izby Józkiem.

— O siódmej.

Józek nie spał dobrze tej nocy, w ogóle nie był pewien, co mu się śniło tylko, o czym myślał na jawie, a co naprawdę z wieczora widział na ekranie kina. I w dodatku ta rozmowa z dyrektorem POM, to go przecież czekało nieuchronnie. Wprawdzie i Adamczyk i Wiśniewski uspokajali go, że dyrektor Roman to swój człowiek, z górników, i nie straszny mimo okularów — ale zawsze nie prosta to sprawa z takim człowiekiem rozmawiać.

Mimo nieprzespanej nocy Józek nie czuł zmęczenia. Szedł wolno, wpatrzony w ziemię, od czasu do czasu wyciągał z kieszeni jakieś papiery, przyglądał się jednemu z nich szczególnie uważnie, patrzył nań pod światło, z boku, pocierał palcem powierzchnię.

— A ty dokąd?

Józek wzdrygnął się. Nawet nie zauważył, kiedy z bocznej ścieżki polnej zaszedł mu drogą agronom — Makowski, prowadzący za kierownicę swój stary motocykl.

— Ja... ja... — jęknął się Józek, chowając pośpiesznie papiery do bocznej kieszeni bluzki — ja właśnie do POM-u.

— No to pójdziemy we trzech razem — Makowski poklepał ręką siodło motocykla. — Mój koń znowu dziś strajkuje. Wyjechałem o czwartej do Kamieńca, mają tam dzisiaj zacząć siał — no i widział, jak mam premię za pilność. Konia za udeję muszę prowadzić zamiast na nim jechać! Do remontu, do generalnego remontu oddam bydło!

— Wy już tak od pół roku... — odważył się Józek, widząc, że humor u pomowskiego agronoma jak zawsze dobry.

— Zaczekaj, może masz rację. Ostatnim razem też tak było — bez remontu się obszedło.

Zatrzymali się obaj. Józek wziął w ręce podaną mu przez Makowskiego kierownicę i obserwował cichwie ruchy agronoma. Ten odwręcił czoło boku, sprawdził słomką zawartość, zatkał bak z powrotem, pomajstrował przy świecy, nacisnął starter i — motor zapalił. Makowski, podniecony nagle, wyciągnął pierwszy bieg. Motor zaczął podrygiwać, ale z miejsca nie ruszył.

— No widzisz, no widzisz — Makowski zgasił motor i kopnął nogą w koło. — Z takim koniem jak ten to leżysz bracie marowym bykiem.

Józek wskazał na łańcuch:

— Przecie łańcuch wam spadł! Wisi...! Makowski wałnął się dionią w czoło, przykleknął i w parę minut potem jechali już obaj.

— To dobra maszyna, ja to zawsze mówię. Ile razy słyszy o remoncie — zaraz rusza z kopyta.

Przechanie, niespodziane wystrzały i ciężkie śapania motocykla Makowskiego znał cały POM, a najlepiej chyba wartowniczek Wiśniewski, który jeździł i wierzchowca wpuszczał i wypuszczał co

dzień przez bramę. Wiśniewski słysząc wzmagać się kanonadę, nie miał wątpliwości k'o i na jakim motorze nadjeżdża. Nie ruszył się jednak z wartowni, przymknął nawet drzwi od ulicy i czekał.

Makowski z daleka już zaczął trąbić i wykrzykiwać coś równocześnie.

— Takie ja mam z nim życie — krzyczał Makowski do Józka. — Rano proś się, żeby wypuścił, teraz, żeby wpuścił. Wujku, otwórz, to ja!

— K'o „ja“? Tu Państwowy Ośrodek Maszynowy w Lwówku. Do kogo wy? Aha... już lece.

Wiśniewski wolno, poprzeczony przez dwa kundle, podchodzi do zaworu bramy i wpuszcza wjeżdżających.

— I ty także, tak wczesnie? Mówiłem, że dyrektor dopiero po dziewiątej będzie mógł z tobą rozmawiać.

— Wolalem się nie spóźnić... Pan Makowski mnie podwiózł.

— Siedaj u mnie w wartowni, zaczekasz, przyjrzesz się ludziom.

Ale Makowski nie dawał łatwo za wygraną:

— Ja mu pokażę warszaty, nasze państwo — ze mną przyjechał czy nie?

Wiśniewski machnął ręką, podzwonił pękiem kluczy i wrócił do wartowni.

— To, widzisz, stolarnia, łózka teraz robimy dla traktorzystów, części do wozów, snopowiązałek — prawda, zamknięte jeszcze, nie widział. Która to właśnie wie godzina?

— Tu garaż, tam — no chodźcie, co się gapisz — magazyn maszyn zapasowych. A tam warsztat mechaniczny i kuźnia — ale idź już sam, oglądaj! Przecie śniadania jeszcze nie jadłem — wykrzyknął z oburzeniem — co ty sobie myślisz! Gołowąs, zielony, a ja tu będę oprowadzał jak jakiego ministra. Ruszaj!

Makowski zawrócił w kierunku budynku mieszkalnego. Józek nie był zdziwiony. Cały powiat znał i lubił agronoma Makowskiego — zażubani, mówili o nim ludzie w Modelu i brzmiało to jakby powiedzieli: dobry, swój człowiek. Mimo swoich pięćdziesięciu lat Makowski wyglądał czerstwo i był niezmordowany w objeżdżaniu spółdzielni, które POM w Lwówku obsługiwał. Do POM-u przyjechał z ośrodka Samopomocy Chłopskiej gdzieś we wrocławskim — ale mimo swej rozmowności o tym okresie swego życia niechętnie opowiadał. Wtajemniczeni mówili — z żoną we Wrocławiu rozszedł się, nie chciał wziąć ziemi, która r.u. się w zamian za zostawioną pod Krzemieńcem należała. „Ot, prosta, ludzka sprawa, nasze wnućki — mówiła onegdaj stara Gliniarzowa z Modela — już tego i rozumieć nie będą.“

Makowski doszedł tymczasem do drzwi jednopiętrowego budynku mieszkalnego. Spojrzał w bramę — coraz częściej przemysłki się przez wartownię śpieszący do pracy robotnicy. Większość z nich i mieszkała dotąd, i pochodziła z okolicznych wsi. Dojeżdżali na rowerach i szli pieszo co rano po sześć i więcej kilometrów. POM w Lwówku był jednym z najstarszych w Polsce: od czterech już miesięcy pracowali pełną parą! Ale ludzie ci na terenie zajmowanym obecnie przez POM od wielu lat już pracowali. Przynajmniej niektórzy, starsi. Na przyszły rok zabuduje się POM w nowym miejscu — staną tam, zgodnie z planem, nie tylko nowoczesne warszaty i magazyny, ale i mieszkania pobuduje się uczciwie. Na razie, po staremu, większość ludzi kilometrów do pracy musi się morderować.

Makowski zawrócił nagle, spojrzął na zegarek: zgadza się, w pół do siódmej.

Warszaty były już w pełnym ruchu, ostatni robotnicy w pośpiechu podpisywali

B. S. SEREBRENNIKOW

O DYKUSJI LINGWISTYCZNEJ W ZSRR

Moskwa, we wrześniu.

W początkach lipca zakończyła się na szpaltach „Prawdy“ dyskusja poświęcona sprawom językoznawstwa. Dyskusja ta nabrała ogromnego znaczenia społecznego, dzięki pojawieniu się szeregu znakomitych prac towarzysza Stalina, które zadały drugoczący cios teorii Marra. Teoria ta, racząc wypaczenie marksizmu, którą uczniowie i naśladowcy Marra przez długie lata uważali za niewzruszoną prawdę i zalecali jako marksistowską naukę o języku — runęła, pozbawiona jakiegokolwiek realnej podstawy.

Dyskusja w sprawach językoznawstwa wywołała w Związku Radzieckim żywy odzew. Redakcja „Prawdy“ otrzymała ponad 200 artykułów od uczonych, przeważnie językoznawców — pracowników instytutów naukowo-badawczych i uczelni Moskwy, Leningradu, Ukrainy, Białorusi, Gruzji, Kazachstanu, Armenii, Litwy, Mołdawii, Łotwy, Estonii, z różnych miast i okolic. Redakcja otrzymała również dużą ilość listów od czytelników, które świadczyły o tym, że zagadnienia poruszane w dyskusji wywołały zainteresowanie nie tylko wśród fachowców-lingwistów.

*

Marr, pretendujący do roli twórcy nowej marksistowskiej nauki o języku, w gruncie rzeczy upraszczał i wulgaryzował marksizm. Wulgaryzacja marksizmu szła u niego w parze z czczeniem, nadętym i lekkomyślnym zaprzeczaniem wszystkich osiągnięć nauki w przeszłości. Marr uważał, że cała dawna nauka językoznawstwa jest jednym wymysłem formalistów i idealistów, że jest zupełnie pozbawiona podstaw naukowych i powinna być w całości odrzucona.

Na czym polegały błędy Marra i dlaczego jego teoria okazała się zupełnie nie do przyjęcia dla radzieckiego językoznawstwa?

dzą w historii i likwidacji danego języka, jego struktury i do narodzin nowego języka z nowym zapasem słów, z nową budową gramatyczną.

Dlatego też mieszac język z nadbudową, jak to czyni Marr, jest grubym błędem. Język to środek, przy pomocy którego ludzie obcuja z sobą, dzielą się myślami i dają do wzajemnego porozumienia się. „Język należy do zjawisk społecznych — mówi towarzysze Stalin — działających przez cały czas istnienia społeczeństwa. Rodzi się on i rozwija wraz z narodzinami i rozwojem społeczeństwa. Umiera wraz ze śmiercią społeczeństwa. Poza społeczeństwem nie ma języka“.

Wychodząc z zasadniczo fałszywej, niemarksistowskiej formuły o języku jako nadbudowie, Marr wniósł do językoznawstwa drugą błędną, niemarksistowską formułę przeczącą całemu biegowi historii narodów i języków: teorię „klasowości“ języka.

Mieszając język z nadbudową, Marr dochodził do wniosku, że jeśli nadbudowa posiada charakter klasowy, to język także musi być klasowy, wobec czego nie ma języka ogólnonarodowego. „Teoria jafetycka — pisał Marr w jednej ze swych prac — odrzuca samo pojęcie języka narodowego, pozostawiając, pozaoklasowego, jako pojęcie pseudonaukowe“. Z teorii Marra wynika zatem, że język narodowy to tylko suma różnych języków „klasowych“, z ich „klasową“ gramatyką — „proletariacką“, czy „burżuazyjną“ — choć takie gramatyki w rzeczywistości nie istnieją. Mówić o „klasowości“ języka — to utożsamiać język z kulturą, nie rozumieć różnicy między kulturą a językiem. Kultura zmienia się w swej treści z każdym nowym okresem rozwoju społeczeństwa. Kultura może być i burżuazyjna, i socjalistyczna, język natomiast jako środek komunikowania się jest zawsze językiem ogólnonarodowym, obsługującym jednakowo zarówno starą, jak nową kulturę.

Błędem Marra jest niemarksistowskie wyobrażenie o istocie języka. Marr twierdził, że czynność myślenia może odbywać się również bez uwewnętrzniania w dźwiękach. Przyszły język — pisał Marr — to „myślenie rozwijające się w technice wolnej od przyrodzonej materii“... Innymi słowy, Marr uważa, że obcowanie ludzi może odbywać się także bez języka dźwiękowego, za pomocą

samego myślenia, wolnego od „przyrodzonej“ materii języka, wolnego od „norm przyrody“. Tak — zdaniem Marra — będzie w przyszłości.

W artykule „O niektórych zagadnieniach językoznawstwa“ J. Stalin wskazuje na to, że „odrywając myślenie od języka i „wyzwalając“ je od językowej „materii przyrodzonej“ Marr grzeźnię w bagnie idealizmu“.

Panowanie teorii Marra przyniosło dużą szkodę rozwojowi językoznawstwa radzieckiego. Kierownicze koła w dziedzinie językoznawstwa, uczniowie i zwolennicy Marra, stworzywszy kastę nieomylnych, nawet nie starali się poddać jego nauki poważnej rewizji, nie mówiąc już o krytyce jego błędów. Stworzyli oni, jak mówi towarzysze Stalin, arakcyjewski reżim w językoznawstwie. Wszelki krytycyzm w odniesieniu do nauki Marra uważano za rewizję marksizmu. Najmniejsza krytyka nauki Marra pociągała za sobą dymisję z zajmowanego stanowiska lub degradację wartościowych pracowników i badaczy w dziedzinie językoznawstwa. W ciężkiej sytuacji znajdowała się też sama nauka o języku. Wykłady z historii języków wstrzymano lub sprowadzono prawie do zera. Wszelką próbę wytłumaczenia pokrewieństwa języków pochodzeniem z jednego źródła traktowano jako przejaw teorii „prajęzyka“. Odrzucono zupełnie wspólność pochodzenia takich na przykład języków, jak słowiańskie.

Centralny organ partii, „Prawda“ otworzyła na swych łamach szeroko i swobodnie dyskusję w sprawach językoznawstwa, aby drogą krytyki i samokrytyki nadać właściwy kierunek dalszej pracy naukowej w tej dziedzinie.

Szczególnie doniosłe znaczenie miały opublikowane podczas dyskusji artykuły wielkiego koryfeusza nauki J. Stalina: „W sprawie marksizmu w językoznawstwie“, „O niektórych zagadnieniach językoznawstwa“ i „Odpowiedź towarzyszom“, w których po raz pierwszy w literaturze marksistowskiej znajdują rozwiązania najbardziej złożone problemy nauki o języku.

Towarzysze Stalin z genialną wnikliwością uchwylił zasadniczy błąd teorii Marra — określenie języka jako nadbudowy. Język nie jest nadbudową gdyż wszelka nadbudowa znika wraz ze zniknięciem bazy, gdy

tymczasem język z jego podstawowym zapasem słów i strukturą gramatyczną zachowuje się przez długi przeciąg czasu. Taki jest argument towarzysza Stalina — genialny w swej prostocie, jasności, głęboko naukowej.

„Od śmierci Puszkina — mówi towarzysze Stalin — minęło przeszło sto lat. W ciągu tego czasu w Rosji uległ likwidacji ustrój feudalny i kapitalistyczny i powstał trzeci ustrój — socjalistyczny. A więc likwidowane zostały dwie bazy wraz z ich nadbudowaniami, powstała nowa baza socjalistyczna wraz ze swą nową nadbudową. Jeżeli jednak weźmiemy na przykład język rosyjski, to w ciągu tego długiego okresu czasu nie uległ on żadnej radykalnej zmianie i współczesny język rosyjski niewiele różni się w swej strukturze od języka Puszkina“.

Towarzysze Stalin w sposób głęboko naukowy i niezmiernie jasny uzasadnił fakt, że w rzeczywistości nie ma w rozwoju języków żadnych okresów, których charakter zależałby od określonych formacji społeczno-ekonomicznych, że teoria Marra o okresowym rozwoju języków jest pozbawiona wszelkiej realnej podstawy.

Marr i jego zwolennicy twierdzili, że przejście od jednego stadium rozwoju do drugiego odbywa się drogą raptownego skoku czy wstrząsu, co stwarza zupełnie nowy jakościowy stan języka.

Istotnie — mówi towarzysze Stalin — w jakim celu właściwie istniejąca struktura języka, jego budowa gramatyczna i podstawowy zasób słów, miałyby po każdym przewrocie ulegać zniszczeniu i ustępować miejsca nowym, jak to zwykle bywa z nadbudową? Komu to potrzebne, by „woda“, „ziemia“, „góra“, „las“, „ryba“, „człowiek“, „chodźcie“, „robie“, „wytwarzać“, „handlować“ itd. nazywały się nie wodą, ziemią, górą itd., lecz jakoś inaczej?

Raptowna zmiana istniejącego języka na język jakościowo zupełnie nowy, doprowadziłaby faktycznie do rozkładu społeczeństwa. W rzeczywistości rozwój języka nie odbywał się na drodze likwidacji języka już istniejącego i budowy nowego, — lecz poprzez stopniowe, długotrwałe nagromadzenie elementów nowej jakości i stopniowe obumieranie elementów starej jakości.

Stąd wniosek, że nie ma w rozwoju języków żadnych raptownych skoków, jak

Ilustrował Marek RUDNICKI

PONIEDZIAŁEK

na wartowni listę obecności i szli prosto do swoich działów. Dwa zapasowe traktory, nowiutki — jeden czeski, jeden polski — zapuszczano właśnie w garażu dla dotarcia. Obok w szopie oliwiono i czyszczono duży radziecki kombajn.

— No, przecież nic z tego nie będziez rozumiał — krzyczał z daleka Makowski idąc dużymi krokami w kierunku Józka.

— Tu, widzisz, trzydzieści lat temu, Niemiec miał kuznię. Ciężko pracował — widzisz ten piec — zbudował małą odlewnię, potem tartak. — Makowski prowadził Józka dalej — ...i fabrykę narzędzi rolniczych, i fabryczkę maszyn do kopania torfu, i młyn — no przecież widziałeś go, tuż przy bramie, ten największy budynek. Trzydzieści lat ciężko na to pracował, tak ciężko jak twój ojciec, i stary Lorentz, i Gliniarzowa, i inni. A gdzie jest młyn twego ojca? — Makowski popychał Józka w stronę obrabiarki, na której młody robotnik, w okularach, w niebieskim kombinzonie i drewnianych pantoflach na bosych nogach obtaczał jakąś część metalową. — Ty pomyśl o tym — dzieńdobry, Tarka — krzyknął w stronę robotnika, który na chwilę odwrócił twarz w ich kierunku — gdzie jest tartak Gliniarzowej i młyn Lorentza i fabryka maszyn rolniczych ojca Kazika Krawczyka — no przecież znasz Krawczyka?

— Kazik — krzyknął na przechodzącego obok robotnika. Krawczyk skinął głową i poszedł dalej w kierunku kuzni.

Józek nie czuł się już obco i był wdzięczny za to agronomowi Makowskiemu. Nie pracował tu jeszcze, ta rozmowa z dyrektorem czekała go dopiero — ale jakież to wszystko łatwe, i tokarka, i traktor, i kombajn nawet, wobec tych trudności, które potrafił pokonać ten lotnik radziecki z wczorajszego filmu, który o dwu sztucznych nogach i chodzić, i tańczyć, i nawet samolot prowadzić potrafił.

— Ten Niemiec — ciągnął dalej Makowski — nikt tu już nawet nie pamięta jak się nazywał, ten Niemiec, uważasz, co to tak ciężko pracował przez trzydzieści lat, uciekł razem z Hitlerem. Fabryczkę wiodła ludowa przejęta pod swój zarząd. I dleci, jak przed wojną, jak w czasie okupacji, robiło się małe młocarnie, jakieś maszynki do torfu. I jak myślisz, kłóż je kupował?

— No, wiadomo przecie — Józek mógłby wymienić tych co kupowali, i z Modelą i z sąsiednich wiosek. Przy Makowskim jednak wolał być ostrożny — może go wysmieje?

Makowski patrzył na Józka spod oka, taksując.

— No, odważnie, jak myślisz, kłóż kupował te maszyny?

— Wiadomo, ci co mieli pieniądze! — rąbnął odważnie Józek.

— A ja myślę, żeś ty niepotrzebnie za chytry, niepotrzebnie się mna za chytry. Po nazwisku przecie mógłbyś wymienić.

Agronom miał rację — cóż to, na plebanii rozmawia?

Makowski zadowolony się jednak widocznym na twarzy chłopca zakłopotaniem, przez chwilę milczał, i nie zwracając już uwagi na idącego w pół kroku za nim Józka, ciągnął dalej:

— My to, widzisz, tymi wielkimi traktorami i kombajnami odrobimy. Z nawiazką. I tych trzydzieści lat „ciężkiej niemieckiej pracy“, i nasze własne, powojenne już błędy. Odrobimy w sześć lat.

Makowski zatrzymał się, spojrzął na Józka bystro, splunął w bok głośno. Był z siebie wyraźnie niezadowolony.

— Do partii należysz? Do ZMP? — poprawił się.

Józek nie bardzo rozumiał o co tamtemu chodzi. Dlaczego Makowski mówił najpierw o małych maszynach, które tu

dawniej produkowano, potem o tych dużych kombajnach — i naraz ZMP.

Jakby domyślając się jego wątpliwości, Makowski tłumaczył:

— To bracie jest właśnie polityka: budować małe maszyny i narzędzia, sprzedawać je temu „kto ma pieniądze“, czy budować i sprowadzać duże, wydajne, lepiej pracujące, ale za drogie na tegiego

— Traktorzystą.

— Naprawdę tylko o to chodzi? — Roman uśmiechnął się, bo wiedział o Wiśniewskiego o lotniczych marzeniach Józka.

— Teraz chcę zostać traktorzystą — nie mówią prawdy nie skłamał Józek.

— No tak — dyrektor Roman uśmiechnął się w stronę swego zastępcy. — Wy



nawet kulaka. A co ty myślał takiego — ta polityka?

Makowski wbiegł do stołówek.

Kiedy Wiśniewski wszedł do pokoju dyrektora Romana, ten kończył jeszcze telefoniczną rozmowę z sekretarzem Komitetu Powiatowego w Gostyninie.

— Wionczemin, Kąty, Koszelew i Kleniew awanturują się o resztkę ziarna selekcyjnego. Tak... tak... już trzy razy. Meldunek o przebiegu orki w grupach producentów dostaniecie jutro z rana, pamiętam, pamiętam o tym. Nie nadążamy z robotą. Tak... jest lepiej niż można się było spodziewać. Te cztery traktory, które przysły po żniwach — przysły w porę. ...W środę? Dobra, Duszczyk będzie na pewno, już był w Remkach z sześć razy.

Józek czekał w przyległym pokoju i głos dyrektora Romana — kłóż by to mógł być inny? — wydał mu się znajomy i bliski.

— Liczycie, że tym razem pójdzie dobrze?... co... przysiali do was... do Komitetu? Na pewno byli stary Robert i Jurek Troka... zgadłem? Po ostatnim kole partyjnym u nich Duszczyk wrócił na stół koniach... tak... postaram się. Mówiłem wam — do żniw mieliśmy 12 grup producentów, teraz do orki, na dzień dzisiejszy, jest 34. Mało?... Mnie też wszystkiego mało, przede wszystkim maszyn.

— No dobra, dobra... tak... do środy w Remkach. Ale dzisiaj na odprawie u nas będziecie? Macie przecie być w Kamieńcu. Po drodze... dobra.

— Towarzyszu dyrektorze, ten Józek czeka.

— Dawać go tutaj!

Józek wszedł do pokoju i podszedł wprost do biurka dyrektora Romana.

— Siadajcie.

Z tyłu, po lewej jego ręce, siedział dyspozytor Olkowiec (Wiśniewski poinformował go uprzednio) po prawej — zastępca dyrektora Duszczyk. Zastępcę dyrektora dobrze znał zresztą z widzenia.

— Wiśniewski mi o was mówił — chcecie tu pracować? Czym chcecie być?

wiecie, że u nas jest już po najgorętszej robocie. Jeszcze ze dwa tygodnie i traktorzyści zjadą z pół. Nie doberamy teraz w zasadzie nowych ludzi. Ale jeśli chcecie być kiedyś dobrym lotnikiem — dyrektor spojrzął teraz Józkiemu prosto w oczy — to myślcie, że i warsztatowa praktyka przyda wam się bardzo.

— Byliście wczoraj w kminie? — zapytał go Duszczyk i kiwnął głową, nie czekając na odpowiedź.

— Towarzyszu Olkowiec, który to z traktorzystów z rana dzwonił, że mu pomocnik zachorował? Jak wchodziłem, odbieraliście właśnie telefon.

— Jarmarkowski, jest teraz na grupie producentów w Słomkowie.

— Dobra, dostaniecie się od razu w ręce świetne, ale twarde.

— Tak chyba najlepiej — przytaknął Józek.

— Idźcie do sąsiedniego pokoju napiszcie podanie i życiorys.

— Józek sięgnął do kieszeni.

— Macie gotowe — pokażcie. Jak tam u was z latami — coś mi na szesnaście lat nie wyglądadcie. Bieda?

Józek nie rozumiał ostatniego słowa — coś w głosie dyrektora było jakby życzliwego — dlaczego więc ma z nim być bieda?

Dyrektor Roman rzucił okiem na podanie, podał je przez stół swemu zastępcy i odczytywał półgłosem życiorys.

— Urodzony... siedem klas... jak to z tym ZMP u Was? Należycy?

— Należałem, ale przez zimę i lato, jakem robił u wuja, to ukradkiem tylko mogłem na zebranie się wyrwać.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

— Jeśli będziecie się dobrze sprawować, wyślemy was w ziemie na trzymiesięczny kurs i na wiosnę będziecie traktorystą całą gębą. Teraz idźcie do buchaltera, dowiecie się jakie są warunki pracy — jakąś zaliczkę też chyba zechcecie dostać? — potem od intendenta Krawczyka dostaniecie kombinizon — i jazda. O dziesiątej wróci z terenu po zapasowy lemiesz mechanik Janczuk, zabierze was z sobą do Słomkowa.

Józek podał kolejno rękę dyrektorowi, jego zastępcy i dyspozytorowi, i wyszedł poszukując buchaltera.

Właściwie nie skłamałem — myślał wchodząc do pokoju buchaltera — za siedem miesięcy będę miał szesnasty rok. A to przecież też szkoła — bo cóż ze mnie za robotnik — do maszyn? Uczyć się... uczyć.

— Gostynin 28... Gostynin 28... taki taki taki POM.

Buchalter nie miał chyba więcej niż lat trzydzieści. Był niski, w okularach, zsupeły. Jakis strasznie nerwowy człowiek — myślał Józek, przysłuchując się jak tamten zamawiał rozmowę.

— Ja do pracy.

Buchalter Łobodziński ledwo spojrział na niego, przytrzymał łokciem zsuwające się z biurka papiery i drugą ręką wskazał mu wolne krzesło.

— Siadajcie. Już dwa miesiące czekam. Musicie zaraz zacząć kontować.

Józek nie ruszył się z miejsca. Zrozumiał tylko tyle, że tamten prosi go siadać.

— Siadajcie, nie ma na co czekać — formalności później załatwiamy.

— Ja do traktora, na Słomków mamjechać. Dyrektor...

Teraz dopiero buchalter oprzytomniał. Machnął z rezygnacją ręką i obojętnie, nagle zupełnie uspokojony, powtórzył raz jeszcze:

— No to siadajcie, zaraz was załatwimy.

Zadzwoił telefon.

— PZGS, co? Kto przy telefonie? Tu Łobodziński. POM Lwówek — kiedy wreszcie wyślecie rachunek za wapno? Już trzy razy zużyliśmy to wapno a rachunku nie ma! Co! Kiedy? Tydzień czasu wam nie wystarczy? Tydzień?... tydzień... — przedrzeźniał do telefonu, przytrzymując drugą ręką wciąż zsuwające się z biurka papiery.

Z otrzymaniem kombinizonu od Kazika Krawczyka nie było oczywiście kłopotu. Józek pogawędził jeszcze godzinę z Wiśniewskim, lyknał sporo czarnej

ANTONI SŁONIMSKI

UWAGI O PLASTYCE

POWAŻNY kryzys, jaki przeżywają dziś sztuki plastyczne, ma głębsze podłoże historyczne. Malarstwo i rzeźba przez stulecia rozwijały się w oparciu o ustrój feodalny i kościół. Wiek dziewiętnasty, okres industrializacji, oddał sztuki plastyczne pod patronat plutokracji i mieszczaństwa.

Jednocześnie nowe wymagania budownictwa, zanik wielkich budowli monumentalnych oderwał częściowo malarstwo od naturalnego podłoża, którym była architektura, wyodrębniając malarstwo stalugowe. Rozważając przyczyny kryzysu malarstwa w ostatnim okresie międzywojennym — niewątpliwie wziąć trzeba również pod uwagę rozpowszechnienie się fotografii i środków reprodukcji zdjęć fotograficznych. Malarstwu i rzeźbie odebrano stał monopol na odwzorowanie natury. Pamiętać musimy, iż był to czynnik o wielkim emocjonalnym znaczeniu. Kiedy Benvenuto Cellini odsłaniał swój posąg Perseusza, ludzie z odległych miast gromadzili się w Florencji. Zachwyt budziły obrazy mistrzów, którzy oddawali piękno aktu kobiecego czy martwe natury przedstawiające kwiaty i owoce, portrety uderzające podobieństwem. Ten czynnik emocjonalny zastąpiony został fotografią, co więcej, głód wrażeń wizualnych, w ostatnim półwieczu, znalazł zaspokojenie nie tylko w licznych ilustrowanych magazynach, ale i w kinematografii.

Epoka impresjonizmu była dalszym etapem w dążeniu do odtworzenia piękna natury. Chodziło tu już nie tylko o barwę, ale i o światło. I tu znowu widzimy jak postęp techniki w dziedzinie reprodukcji kolorowej i fotografii barwnej rywalizuje z pracą artysty. Wydawać by się mogło, że malarstwo wyzwolone z zadań bezpośredniego reprodukcji natury wysublimuje się i oczyści. Zaszedł jednak fakt wręcz odwrotny, malarstwo oderwane od architektury i pozbawione monopolu odwzorowania świata zewnętrznego, a przez to oderwane od zainteresowań szerokich mas ludzkich, zaczyna coraz bardziej popadać w degenerację. Na rosnącą obojętność odbiorcy artyści odpowiadają „epatowaniem”, modną w ostatnim ćwierćwieczu pogardą dla konsumenta. Ta pogarda nieznaną była wielkim mistrzom Odrodzenia. W listach Dürera znaleźć można długą epistolę, w której artysta tłumaczy się przed jakimś mieszczańskim, który odrzucił obraz zamówiony. Dürer z prostotą i skromnością wyjaśnia, że użył farb najlepszych i namalował zamówioną ilość aniołów. Nie ma tam ani cienia pogardy i wyższości. Wniosło lekceważenie odbiorcy jest cechą rosnącą wraz z upadkiem sztuki plastycznej i związane jest ściśle z ustrojem kapitalistycznym.

Po pierwszej wojnie światowej malarstwo zaczyna być przedmiotem i spekulacji i inwestycji finansowych. Paryscy handlarze obrazów sprzedają dzieła sztuki jak akcje giełdowe. Spekulują na zwykłym i zniżkę Utrilla czy Modiglianego. Klienci kupują obrazy, nie widząc ich na oczy. Transakcje dokonywują się telegraficznie, przyczem obraz, kupiony i schowany w kasie ogniotrwałej, sprzedawany jest z za-

robkiem czy stratą następnemu klientowi. Malarz nie ma prawa do eksperymentowania, musi naśladować sam siebie, gdyż maniera raz uznana na giełdzie malarzkiej jest znakiem prawnym. Ta „filatelistyka”, w którą zamienia się malarstwo, ma jeszcze jedną cechę fatalną. Malarz, pragnący wejść na giełdę, aby zwrócić na siebie uwagę kunsthandlery i rynku, w poszukiwaniu oryginalności i „tricku” popada w najskrajniejsze dziwactwa. Kierunki i „szkoły” zmieniają się co parę lat. Dawny malarz kształcił się i rozwijał w jednej szkole, będąc wiernym jednemu kierunkowi, gdyż były to kierunki trwające przez pokolenia. W ostatnim ćwierćwieczu wielu malarzy, którzy rozpoczęli od szkoły monachijskiej — przeszło przez impresjonizm, postimpresjonizm, kubizm, surrealizm aż do malarstwa abstrakcyjnego i z powrotem do taniego naturalizmu, jak to miało miejsce z Chirico. Ten gorączkowy pościg za modą i rynkiem nie wiele ma wspólnego z wolnością sztuki. Brak kryteriów i dowolność absolutna, która zapanowała w plastyce, daje różnym kombinatorom i oszustom okazję do żerowania na naiwności ludzkiej.

Ten „bluff” kwitnie obecnie w Ameryce, gdzie zaostrzona walka o byt i brak tradycji kulturalnych sprzyja wszelkiego rodzaju mistyfikacjom. Na załączonych zdjęciach widzimy paru czołowych modernistów amerykańskich. Mr. Richard Lippold trzyma w ręku kulę drucianą, a troška, która maluje się na jego twarzy, zdaje się mówić o głębszych mękach twórczych, których ten drucik jest owocem. Mrs. Mary Callery z zadumą w oczach demonstruje parę sztab stalowych wygiętych bez powodu, a Mr. Ibram Lassaw sfotografował się w klatce drucianej, która prawdopodobnie wyraża jego stan psychiczny. Trzeba jednak odróżniać błędne eksperymenty prawdziwych artystów zagubionych w epoce dekadencji sztuki mieszczańskiej, od takich cynicznych „tricków” obliczonych na snobizm amerykańskich giełdżarzy.

To poszukiwanie „oryginalności” za wszelką cenę i zależność materialna od mieszczańskiego klienta, który zobojętniał na sztuki plastyczne, ponizła godność artysty i czyni go, w społeczeństwie kapitalistycznym, albo pariasem albo kuglarzem. Zanika poczucie związku ze społeczeństwem, kompleks niepotrzebności pogłębia gorzkość i niechęć do świata.

Ustrój socjalistyczny przywraca godność i znaczenie artysty. Malarz, rzeźbiarz czy grafik staje przed nowymi, wielkimi zadaniami, staje się potrzebny nowym, szerokim masom odbiorców. Nie zdany na kaprysy mody i wymagania rynku, może pogłębiać swą sztukę. Opieka państwa nad artystą w ustroju socjalistycznym nie ma nic wspólnego z patronatem dworu. Artysta nie służy małej grupie uprzywilejowanej, rzeź jest zależny od fantazji księcia czy łaski papieskiej, ale związany z wielkimi masami ludowymi, wyraża troski i nadzieje tych mas, wnosząc element piękna w życie i pracę codzienną.

Ten nowy humanizm w plastyce, wierzyć musimy, przyniesie nam odrodzenie malarstwa i rzeźby. Nie wolno jednak zapominać, iż artysta w społeczeństwie socjalistycznym musi mieć prawo do eksperymentowania i szukania najwłaściwszej drogi wypowiedzenia się artystycznego. To prawo do poszukiwań, zagubione i zdegenerowane w epoce kapitalizmu, musi być przywrócone artysty. Jak potrzebne są laboratoria przy fabrykach, tak potrzebne są pracownie eksperymentalne. Powściągnąć musimy zrzuciając niecierpliwie. Proces dojrzewania i rozumienia nowych zadań wymaga współczynnika czasu. Tworzenie się i umacnianie kultury proletariatu jest procesem historycznym idącym w pokolenia. Nie może to jednak być żadnym usprawiedliwieniem dla artysty dzisiejszego, który odłącza się i stroni od współpracy w wielkim dziele przebudowy. Nie możemy oczywiście wymagać od artysty, aby tworzył na poczekaniu wielkie, monumentalne dzieła, ale artysta w społeczeństwie socjalistycznym zrozumieć musi to prawo niewzruszone, iż nie może liczyć na pamięć przyszłych pokoleń ten, kto nie widział trosk i nadziei własnego pokolenia.

Antoni Słonimski

ZOFIA RZEPLIŃSKA

I. G. FARBEN

28

lipca 1948 r. nastąpiła straszliwa eksplozja w zakładach I. G. Farbenindustrie w Ludwigshafen. Po katastrofie ulice miasta wyglądały jak po trzęsieniu ziemi. Przeszło 6 tys. osób zostało rannych, a ogromna ilość zabitych i oślepiętych od wybuchu. Zakłady zostały zniszczone w 80%, płomienie wydobywały się z nich jeszcze przez parę dni, podczas których sanitariusze w maskach gazowych kraśli wśród gruzów i żelastwa wynosząc zmarłych i udzielając pomocy rannym.

W Mannheim ogłoszono alarm ostrzegający ludność przed niebezpieczeństwem gazów trujących. Mimo to tłumy ludzi przedzierały się przez kordony policji i wojska, aby pomagać służbie sanitarnej w wydobywaniu ofiar z gruzów. Wiele zwłok miało twarze zabarwione na fioletowo, wskutek wybuchu chemikaliów. Uratowani robotnicy twierdzili jednogłośnie, że w fabryce wyrabiane były części do broni V-1 i V-2 oraz inne materiały wojenne. Miarodajność tych wypowiedzi potwierdził fakt, że centralny gmach zakładów, który pierwszy wyleciał w powietrze, od pewnego czasu znajdował się pod ścisłym nadzorem wojskowym władz francuskich, okupujących tę część Niemiec.

Oczywiście francuskie MSZ zdementowało oficjalnie wszelkie podejrzania, jakoby zakłady Anilin und Soda produkowały jakiegokolwiek materiały wybuchowe — niemiecki dziennik „Humanité” dostarczył wielu danych stwierdzających ponad wszelką wątpliwość charakter produkcji fabryk w Ludwigshafen. Wprawdzie M. Reinhard Goldberg, jeden z dyrektorów zakładów I. G., oświadczył uroczystie, że I. G. nie produkuje żadnych materiałów wojennych, które mogłyby być niebezpieczne — specjalny korespondent „Humanité” wysłany na miejsce katastrofy, pozwolił sobie jednak na pytanie, czy pan dyrektor zna „bezpieczne” materiały wojenne.

W ramach komentarzy na temat wypadków w Ludwigshafen ukazało się na łamach „Humanité” ciekawe zestawienie chronologiczne, dotyczące powojennych dzieł koncernu I. G. Farben. Oto ono:

8 lipca 1945 r.

W senacie amerykańskim sekretarz Kilgore oświadcza: „Zakłady I. G. Farben zostały skonfiskowane. W ten sposób zyskujemy pewność, że koncern ten nie odbuduje już nigdy swego wojennego potencjału”.

15 października 1945 r.

Gen. Clay anonsuje w czasie „najbliższym” konfiskatę i demontaż 300 fabryk I. G. Farben.

1 marca 1946 r.

Amerykański senator Russel Nixon złożył raport przed senatem na temat „zagmatwanej sytuacji w demontażu przemysłu niemieckiego”.

3 września 1946 r.

Dziennik „Allgemeine d'aujourd'hui” donosi o utworzeniu nowego ośrodka centralnego I. G. Farben w Hamburgu celem złączenia różnych gałęzi trustu pod jednym kierownictwem.

25 sierpnia 1947 r.

Rozpoczyna się proces przeciwko dyrektorom I. G. Farben, „głównym winowajcom II wojny światowej”, według słów generalnego prokuratora Taylora.

28 lipca 1948 r.

Eksplozja materiałów wybuchowych w Ludwigshafen.

„Oto jak wygląda sytuacja w niespełna 3 lata po spotkaniu w Jalcie i po uchwałach poczdamskich” — widnieje smutna uwaga w końcu zestawienia. Dodajmy również, że w dniach eksplozji wyrokiem amerykańskiego sądu wojskowego 23 dyrektorów zakładów I. G. Farben zostało uwolnionych od winy. Wyrok umotywowano trudnością przeprowadzenia ścisłej linii demarkacyjnej między winnymi a niewinnymi. Oskarżenia jakoby nie mieli dostatecznie wyraźnego udziału w polityce koncernu I. G., nie mogą więc być odpowiedzialni za jego zbrodnie.

Dla trafniejszego zrozumienia tego orzeczenia warto skorzystać z komentarza czasopisma amerykańskiego „New Republic” wskazującego na wpływ amerykańskiego wiceministra wojny Drapera na wyrok w procesie I. G. Wpływ ten tłumaczy się zupełnie jasno na tle stosunków handlowych, łączących Drapera z Schachtem i osobistościami z I. G. Trzej zaś sędziowie amerykańscy, którzy prowadzili ten proces, zostali obsadzeni przez podsekretarza stanu w amerykańskim ministerstwie wojny Patersona, który już od dawna pozostawał z I. G. Farben w jak najlepszych stosunkach handlowych.

Sprawa dyrektorów z I. G. Farben wyznaczała wprawdzie poważny, ale bynajmniej nie pierwszy etap na drodze „emancypowania się” spod nader uciążliwej dla wielkich businessmenów kontroli poczdamskiej. Wystarczy przypomnieć sobie w tamtym okresie takie chociażby „awanse” jak wyrok 3-miesięcznego więzienia na hitlerowskiego zbrodniarza wojennego, barona Kurta von Schroedera, który w r. 1933 zorganizował w swym domu spotkanie między Hitlerem a przemysłowcami Rury. Baron v. Schroeder był nie tylko prezesem potężnego banku kolońskiego I. G. Stein, lecz również głównym wspólnikiem nowojorskiego Schroeder Bank, tego samego, w którym funkcję radcy prawnego pełnił John Foster Dulles, a funkcję dyrektora brał jego, Allen Dulles.

Warto również dla odtworzenia politycznego klimatu wybuchu w zakładach I. G., kiedy to nagłówki kolumn w czołowych dziennikach świata opatrzone były olbrzymimi znakami zapytania: „I. G. — trust śmierci?” — przypomnieć jeszcze historię procesu „czarodzieja” finansowego Rzeszy, Schachta, który u nie winny i o n y w procesie norwberskim, następnie skazany przez niemiecki sąd denazifikacyjny na 10 lat obozu pracy, złożył apelację (w okresie katastrofy w I. G. Farben) i sprawę wygrał. Przewodniczący sądu, Gerhard Skubich, odcytując wyrok oświadczył: „Muszę stwierdzić, że Schacht nie był nazistą. Należał do partii składa-

jacej się tylko z jednego członka — Hjalmar Schachta”.

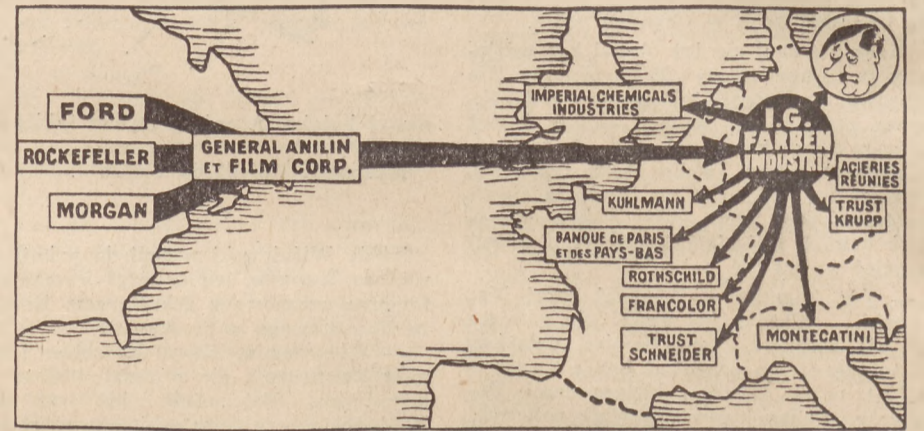
Amerykański pułkownik C. M. Gilbert, po swej wizycie w norwberskiej celi więziennej Schachta, opowiadał, iż („Sunday Express”, Londyn, 19.X.1946) „Schacht śmiał się, gdy słyszał, że oskarża się niemieckich przemysłowców o zbrojenia Niemiec”. „Jeśli chcecie oskarżać przemysłowców, którzy pomagali przy zbrojeniu się Niemiec, musicie i swoich własnych oskarżyć” — powiedział. — „Zakłady Opla należą do General Motors, produkowały przecież wyłącznie dla wojny”.

Nie tylko zresztą Zakłady Opla należące do General Motors... Trzeba jednak podziwiać Schachta za rzutkość, z jaką w lapidarnym „pars pro toto” trafił w sedno rzeczy. Schacht śmiał się i miał się z czego śmiać. Miał zresztą powód do śmiechu również wtedy, gdy w 2 lata później zakładał apelację od wyroku sądu denazifikacyjnego. Sytuacja polityczna budziła już wtedy w pogrobowcach hitleryzmu niebyłą otuchę. Tego lata przeciwko konferencji londyńskiej uchwałami swoimi rozpoczęła akcję, zmierzającą do rozbitcia Niemiec, a tym samym odizolowania stref zachodnich od wpływów demokracji. Tego lata gen. Clay zażądał zwolnienia zarchodnio - niemieckiego „zgrupowania konstytucyjnego”, które miało potem stać się żądkiem przysięgi kadłubowej Trizonii, tego lata wędrował na wakacje obrad zarchodnich okupantów sprawa projektu sta-

waga niemieckiego przemysłu chemicznego w świecie, zwłaszcza w dziedzinie barwników, nad przemysłem chemicznym była — według mnie — zapewniona, gdyby został zorganizowany kartel chemiczny”.

Kiedy marzenie jego zostało spełnione, jednym z pierwszych kroków kartelu I. G. było monopolu środków leczniczych. Innym niemiernie chlubnym posunięciem było przygotowanie pamiętnego ataku pod Ypres... W r. 1935 poszczególne koncerny I. G. zostały wchłonięte przez firmę „Badische Anilin und Soda Fabrik” w Ludwigshafen i otrzymały nazwę I. G. Farben Industrie Aktiengesellschaft. Powstała potężna monopolistyczna całość.

Po umiejscowieniu I. G. w zespole wydarzeń historycznych i obnażeniu jego roli jako narzędzia polityki klasowej, Sasuly daje jednemu z następnych rozdziałów tytuł „Zbawca”. Nazwa ta jest przenośnią niezwykle trafną dla określenia organicznego związku planów wielkiego kapitału niemieckiego z programem Hitlera. Hitler był nie tylko rządcą imperialem niemieckim, był najmocniej skoncentrowanym kwintesencją ich dążeń, niezwykle chytłym sługą niemieckiego kapitału. „Lwi pazur” wódzów I. G. zyskał wtedy nieograniczone pole do popisu, obracając na cel agresji cały olbrzymi potencjał wiedzy na polu techniki i chemii, jaki zdołał sobie przyswoić dzięki sprzyjającym warunkom rozwoju. „Saletra, benzyna i kauczuk: we



tutu okupacyjnego w miejsce przewidzianego w Poczdamskim traktacie pokojowego, tego lata konferencja w Koblencji sankcjonowała rozdział Niemiec — tego lata przestała istnieć Międzysojusznica Komendantura w Berlinie, rozszadzona od wewnątrz rozbiłająca działalność aliantów zachodnich. Tego lata odwrót od Poczdamskiego dojrzał już do tego stopnia, że zarówno wybuch w Zakładach I. G. Farben, jak uniewinnienie dyrektorów tych zakładów nie mogło być traktowane jako fakt sporadyczny i odosobniony.

Wszystkie znaki wskazywały już wtedy, iż w faktach tych tkwiła metoda. Metoda przyspieszonego montowania sojuszu niemieckich i amerykańskich imperialistów, by zbrojne dzieło antyradyckiej kampanii prowadzić dalej. Wynik wojny uczynił wylom w wyprawach krzyżowych wielkiego kapitału przeciw socjalizmowi — ze zdwojonym wysiłkiem należało potem latać ten wylom. Goering i Himmler odeszli — ale przeciw Krupp, Schacht i im podobni zostali i mogą nadal służyć jako partnerzy.

Pożar w zakładach w Ludwigshafen był wielkim ostrzeżeniem, uderzeniem w dzwon alarmowy, odsłonięciem straszliwego oblicza remobilizacji faszystów. I po żar ten wraz z wszystkimi, towarzyszącymi mu okolicznościami, był przejawem systemu, którego łańcuch w początkowych okolicznościach gubił się w okresie, kiedy wielkie monopole wypełzły z embrionalnego stadium lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i w drapieżnym pochodzie ruszyły na podobój świata. Wielką zasługą publicysty i ekonomisty amerykańskiego, Richarda Sasuly* jest odtworzenie dzieł koncernu I. G. Farben w powiązaniu z ogólnym układem elementów rozwoju kapitalizmu, a raczej jego przejścia w imperialistyczną fazę. Zasługą autora jest nie tylko rzetelne zebranie materiałów dotyczących dzieł I. G. w przeszłości, ale uszeregowanie ich w sposób ukazujący punkty wyjścia i perspektywy rozwojowe. Sasuly, który przeciw zbieraniu materiału do swej książki zakończył najwyżej w roku 1946 (pierwsze wydanie ukazało się w 1947 r.), potrafił wykręcić w kotłowniku zdarzeń politycznych nie dialektyczną, wyznaczającą miejsce dla I. G. w kontekście historii.

Po komentarzu wstępnym, wyjaśniającym udział I. G. w drugiej wojnie światowej i sytuacji bieżącej, Sasuly cofa się aż do początku XIX wieku, wskazując źródła powstania i rozwoju największego kartelu świata. W dociekaniach nad genezą sił napędowych wzrostu I. G., Sasuly rozbił bieg analizy na dwa równoległe tory: pierwszy otwiera proces kształtowania się nowoczesnego przemysłu chemicznego na skutek wynalazczości naukowej i umiejętności organizacyjnych — drugi obrazuje układ polityczny - ekonomiczny w aspekcie przemian uwarunkowanych rozwojem środków produkcji na tym etapie historii.

W drugiej połowie wieku dziewiętnastego Niemcy przeobraziły się w nowoczesne mocarstwo kapitalistyczne i stworzyły znakomity aparat produkcyjny, który im pozwolił nie tylko zrównać się z innymi mocarstwami, lecz — w nowych gałęziach przemysłu, jak np. w przemyśle chemicznym i elektrotechnicznym — zająć miejsce przodujące.

Zmiany strukturalne kapitalizmu przejawiają się w tym okresie w stopniowym zanikaniu wolnej konkurencji i w rosnących tendencjach zrastania się przedsiębiorstw przemysłowych.

Sasuly świetnie otwiera ten proces w płaszczyźnie rozbudowy zakładów „Badische Anilin und Soda Fabrik” w Ludwigshafen, późniejszych I. G. Farben. Duisberg, naczelny dyrektor tych zakładów, pisze w r. 1902: „...istniejąca obecnie prze-

wszystkich trzech wypadkach I. G. odniosła sukces, dając Niemcom niezależność. Gdy wozy pancerne toczyły się na oponach z buni — S, poruszane syntetyczną benzyną, niemiecki Sztab Główny wiedział, że zbrojenia osiągnęły swoje ostatnie stadium. Wojna mogła się teraz zacząć w każdej chwili na skinięcie Hitlera” (str. 95).

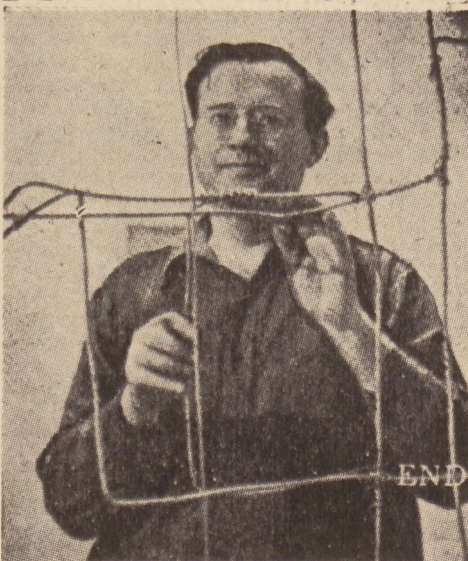
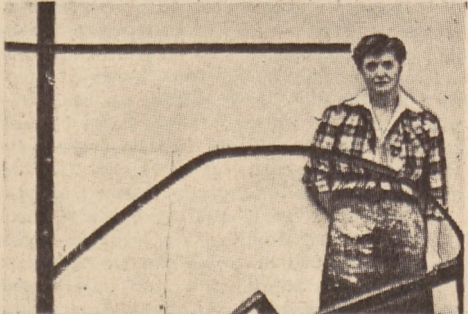
„Skromnym” uzupełnieniem usług oddanych agresji hitlerowskiej zostały poświęcone następne rozdziały książki, obrazujące potworne metody grabieży w podbitych krajach i rozwój systemu masowych morderstw w laboratoriach I. G.

W dalszym ciągu swoich przenikających, celnych i gruntownie potraktowanych rozważań nad „największym drapieżcą świata”, Sasuly wprowadza czytelników w krag powiązań pomiędzy koncernem I. G. a kartelami USA i Wielkiej Brytanii. Oto niektóre z wniosków autora, dotyczących tego zagadnienia: „zamiast działać jako permanentni mediatorzy, kartele światowe stały się czynnikami powodującymi powstawanie międzynarodowych konfliktów, ich dojrzwianie i wybuch. Do tych celów kartele są szczególnie przystosowane. Uprawiają one wielką politykę często w imieniu całych narodów. Tylko dzięki mechanizmowi umów kartelowych Niemcy mogły swobodnie się dobrać... Twórcy karteli działają jako prywatne jednostki, odpowiadają jedynie wobec swych zarządców, i to tylko, gdy chodzi o wykazanie się przyzwoitym zyskiem”.

W świetle dziś znanych faktów dziwnie mało nagłówek rozdziału dwunastego: „Czy koniec I. G. w Niemczech?” Autora usprawiedliwia jednak czas, w którym pisał swą książkę, tzn. rok 1946. Przy dużej ilości optymizmu, mógł się jeszcze lubieżnie

Czy koniec I. G. w Niemczech — pokazała pierwsza część recenzji, biorąc za punkt wyjścia eksplozję w Ludwigshafen w roku 1948. Analizując związki rzeczywiste tego faktu z całokształtem ówczesnej sytuacji politycznej i na tle jej tendencji kierunkowych — trudno już wtedy było pozostawać przy jakichkolwiek złudzeniach. Należy też sądzić, że inaczej wypadłoby zaakcentowanie pewnych partii w książce Sasuly, gdyby opierała się na późniejszych doświadczeniach. A wobec dalszego rozwoju wypadków przesunąłby na pewno punkt ciężkości bardziej na niemieckie wynalazki i, dokładniej jeszcze niż to uczynił w swej książce, wydołyby tożsamość hydry monopolów bez względu na to, na jakiej szerokości geograficznej się znajdują.

Zofia Rzeplińska



LESŁAW M. BARTELSKI
I STANISŁAW WYGODZKI
SŁOWO O WIELKIM
BRATERSTWIE

str. 119
zł 170

HENRI CLAUDE
PLAN MARSHALLA

z posłowiem
dr Tadeusza Łychowskiego

str. 279
zł 350

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

„Czytelnik”

Stefan Żeromski
UCIEKŁA
MI PRZEPIĘCZKA
str. 127 z 150

Teodor Tomasz Jez
FAMIEŃNIKI
STARAJĄCEGO SIĘ
str. 380 z 370

„Biblioteka Stuziotowa”
Miroslaw Kowalewski
KAMPANIA
ZNACZY WALKA
str. 395 z 100

Biblioteka w Prenumeracie
Igor Nowerly
ARCHIPELAG
LUDZI ODZYSKANYCH
Opowieść historyczna
z roku 1948
str. 315 z 300

Jerzy Broszkiewicz
KSZTAŁT MIŁOŚCI
Tom I
str. 192 z 250

* Richard Sasuly, I. G. Farben — z dzieł jednego kartelu, Warszawa, 1949, PIW, str. 274.

PIERWSZY PONIEDZIAŁEK

(dokończenie ze str. 5)

— Pamiętacie naradę produkcyjną na początku lipca? Ja ją wtedy podsumowałem. Towarzysze wiedzą co powiedziałem o sprawozdaniu starszego mechanika Bracha? — że przestoje ciągników i sprzętu można zmniejszyć do zera, jeśli ruszy u was lepiej szkolenie partyjne. Towarzysz Brach zawiadomił nas dzisiaj, że potrafił się powiązać warsztaty mechaniczne z pracą brygad traktorzystów, że nie tylko Wichlacz poprawił swój wynik do 270 procent normy, ale ci traktorzyści, którzy w akcji zmiennej byli na szarym końcu, którzy wyrabiali 80, 90 czy 105 procent, teraz wszyscy skoczyli powyżej stu. Ja myślę, towarzysze, że szkolenie partyjne, że stałe czytanie i dyskusowanie prasy partyjnej — to dobra rzecz. I myślę, że wy się z mną zgadzacie.

Sekretarz ciągnął dalej:

— Towarzysz dyrektor podsumuje wasze sprawozdania i dyskusję. Ja chciałem tylko jedną rzecz tu wrócić. Towarzysz Krawczyk mówił moim najobszerniej z was wszystkich o błędach i brakach swojej pracy. Że w POM-ie brak tego i owego. Ale to, Krawczyk nie mówił o jednym: że spółdzielnie, których macie...

— Z Staropolem i Radyczą już będzie piętnaście — krzyknął z sali przewodniczący Rady Zakładowej Pakulski.

— Macie rację, towarzyszu Pakulski — usmiechnął się sekretarz. Otóż ja muszę powiedzieć, że od czasu jak towarzysze Krawczyk awansował z traktorzysty na intendenta POM-u, przestali do mnie ze Spółdzielni dzwonić o nawozy, o plandeki, o deski czy wapno. I muszę wam powiedzieć, że się o to na towarzysza Krawczyka nie obraziłem...

Dyrektor Roman i kilka osób na sali zaczęło klaskać w dłonie. Wszyscy patrzyli na Krawczyka, który siedział przygarbiony, ze spuszczoną głową.

— A pasy dla traktorzystów, towarzyszu Krawczyk, dostaniecie — krzyknął jeszcze sekretarz Komitetu podsuwając sobie krzesło i śmiejąc się całą twarzą. Wy, na ochotnika, troszczyć się o zapatrzenie Spółdzielni, muszę ja zatroszczyć się o POM.

Dyrektor Roman wstał, śmiejąc się jak i wszyscy zebrani, klaszcząc w dłonie dłużej niż inni.

Wtedy wbiegł do świetlicy Piekarz.

— Telefon, towarzyszu dyrektorze... — wysapał.

Nikt nie miał wątpliwości, że stało się coś niedobrego. Ludzie poderwali się z krzesel. Dyrektor Roman chwile się zatrzymał, jakby chciał o coś jeszcze Piekarza zapytać, i wybiegł z świetlicy. Za nim wyskoczył dyspozytor Olkowiec.

Obstąpiono Piekarza, rzucając zewsząd chaotyczne pytania.

Łapiąc ciężko oddech, wartownik wyjaśniał:

— Dzwonili z Kamieńca... pomocnik traktorzysty... dał znać, że Jarmarkowskiemu kulacy chcą rozbić traktor...

Wszyscy wybiegli ma dziedziniec. Otworzono garaż. Zanim dyrektor Roman wyszedł z biura, Willis i wóz sekretarza powiatowego były już gotowe do drogi.

— Pojedziecie chyba z nami? — zwrócił się dyrektor do sekretarza. — To Słomkowski, spółdzielcy z Kamieńca już tam są na miejscu, możemy być spokojni. Ten chłopak — przyjęliśmy go dopiero dzisiaj do pracy — zanadto się przejął. Ale jechać trzeba zaraz.

— Brach, walcie motocyklem przez Konstancynów — zabieracie stamtąd Duszczycy. Uprowadźcie go telefonem. Krawczyk, Szewdo, Górski i Makowski jada z nami. Reszta zostaje. — Roman usmiechnął się: — Możecie spokojnie iść na kolację.

Brama była już otwarta. Wóz Jaskóły wyjechał pierwszy. Tuż za nim, nie zważając na duszący kurz, prowadził pomownego Willis dyrektora Roman. Po paru minutach jazdy reflektory w Willisie zgasty: była późna szarówka, smuga kurzu ciągnąca się za wozem Jaskóły nie drażniła tak nozdrzy przy wylączonych światłach...

W niespełna dziesięć minut byli już na miejscu. Zostawili samochody pod opieką Jaskóły i na przelaj poszli gromadą w kierunku płonącego pod laskiem ogniska.

— Ja tam byłem spokojny — powiedział Szewdo wskazując ręką widoczny przy ognisku traktor — z Jarmarkowskiemu diabłu nie radziłbym zaczynać!

Jarmarkowski stał oparty o traktor i palił papierosa; wysoki, z twarzą czarną od słońca, płam oliwy i ziemnego pyłu, z wystającą szczęką i krzakastymi brwiami — patrzył na otaczający go tłum ludzi, jakby nie jego to już była sprawa.

Sekretarz Komitetu Powiatowego i ludzie z POM-u podszli do uchelej nagle cizby chłopskiej. Tłum rozstąpił się, dając możliwość przybyłemu podejść do traktora. Sekretarz Kwiatkowski wysunął się naprzód, stanął obok Jarmarkowskiego.

— Mówicie, co tu było — rzucił w tłum.

Ktoś dorzucił do ogniska narezc gałęzi. Ogień zamarł, a po chwili buchnął jeszcze mocniej w niebo.

Kwiatkowski przenosił wzrok kolejno z twarzy na twarz: na wszystkich, i tych znanych mu, i na obcych, malowała się złość i rozdrażnienie.

— Jarmarkowski — najpierw mówcie wy.

— Do obiadu — zaczął powoli, zacinając się Jarmarkowski — zaoraził u Galiny. Tak jak było w planie — brigadier pola obejrzał z rana i porządek naznaczył. Potem przyjechalśmy tutaj, do Filińskiego. Ten Józek, nowy pomocnik, pyta mnie, czym się nie pomylił — co mam się mylić, napisane przecie!

Jarmarkowski wyjmując z kieszeni kawał papieru, tłucze po nim wierzchem obrzydziej dłoni, podaje pierze Kwiatkowskiemu.

— Józka skrzyczałem i oraliśmy dalej. Pod wieczór, jak już szarzało, ludzie, parzę, podchodzą. Po dwu, po trzech — większość baby.

— „U kulaków najęliście się“ — krzyczy ta, o tutaj — Jarmarkowski wskazuje ręką niską, zakutaną w szalik trzydziestoletnią kobietę.

— Jak to u kulaków — pytam, a już złość mnie brała. Galina — to kulak, Filiński Zygmunto to kulak — jak to u kulaków?

— A u Zenka Filińskiego też będziecie orał i u Pawlaka? — pytają ludzie.

— No tak.

A oni w śmiech. A potem do mnie z pięściami i krzyczą:

— Ty kulaczy parobku, udawaj komu innemu, nie nam! Dla kulackiej rodziny orzesz! Twój pomocnik nie robił tu przez rok w Słomkowie? Nie zna tu ludzi?!

— Wtedy właśnie nadleciał Pawlak i dwaj Filińscy. Ale ja już wiedziałem wszystko. Była szarówka, nie wiele do końca roboty. Pomyślałem sobie: wyjaśnięmy to w POM-ie, a tymczasem zjeżdżam z pola. I wtedy Pawlak i Filińscy rzucili się na mnie.

— Król Pelagia to jego żona!

— Filińscy i Pawlak to jedna rodzinka!

— Podzieliłi ziemię przed reformą!

Ludzie krzyczeli jedni przez drugich.

Tylko robotnicy z POM-u i spółdzielcy z Kamieńca — pierwsza odsiecz dla Jarmarkowskiego — stali spokojnie.

Kwiatkowski z trudem uspokoił zebranych. Kiedy się uciszyli, zwrócił się do Jarmarkowskiego i Górskiego:

— Puście go!

Stopnicki otrząsnął się i nie patrząc w stronę Józka, nie zwracając na niego uwagi, poszedł w kierunku drogi. Za nim z krzykiem wypadła z tłumu żona Pelagia, z domu Król Filińscy i Pawlak, niepewni siebie, tyłem wycofali się z kręgu ludzkiego.

Ludzie podszli teraz bliżej traktora, stojący dotychczas z tyłu i niewidoczni w cieniu wysunęli się naprzód.

— O, widzisz go, bohater! — krzyczała chłopka, która przedtem naprzęd wzywała mężowskiego świadectwa. — Toż się znalazł, Jasięku! — ciągnęła chłopka za polę surduta — popatrzcie ludzie na zgrubę!

— Towarzyszu dyrektorze — tłumaczył się Romanowi zdenerwowany Makowski — moja wina, nie sprawdziłem, cały dzień po spółdzielniach rozjeżdżam. Prywatni, myślałem, to nas tak nie obchodzi. Spółdzielcom trzeba pomagać... Teraz widzę... No, a ja tego chrząszcza — palcem wskazał na Józka — dzisiaj rano sam pouczalem.

Po chwili, widząc że dyrektor milczy, dorzucił jeszcze ze złością:

— Galina przychodził do nas żeby umowę zrobić — faktora sobie znalazł!

Galina, który stał gdzieś z tyłu, poza kręgiem postaci widocznych dzięki blaskom ogniska, przepełał się teraz aż do Kwiatkowskiego, odwrócił się, spojrzal ludzimi w oczy — wszyscy dokola przychili. Jego lysa czaszka odbijała rażąco bielą od spalonej słońcem twarzy, która teraz, jak stał tak odwrócony tyłem do dogasającego ogniska, była dla patrzących nań tylko ciemną plamą.

— Ja myślę, chłopcy — zaczął Galina — że jutro też dzień będzie.

— A ino!

— Do rzeczy, gadaj!

— Mądrala!

— Dobrze mówi — przekrzywała innych stryjna Wypycha — jutro też dzień będzie, orać trza. I wiosną też dzień będzie, od kogo koni i sprzętu pożyczony?

— Ja to już myślałem — ciągnął Galina — dzień będzie, dzieciaki trza karmić, a Stopnicki dobrze wylczył, ile orka koniem kosztuje, a ile maszyna. Nauczył mnie tego, dziesięć razy rachowałem.

— To i my teraz widzimy po szkodzi — krzyknął ktoś z tłumu.

— Jaka tam szkoda! Ile to razy statut spółdzielni czytał nam dyrektor Duszczyc — mówiła jakaś chłopka trzymająca dziecko na ręku — jutro możemy podpisać.

Galina, ożywionym nagle głosem, podchwycił te słowa:

— Podpiszmy aby dziś, za co czekać!

— Dobrze mów!

— Gorączka.

Podniósł się znowu tumult przychylnych i niechętnych głosów. Kwiatkowski wyjechał chwilę, chciał wylchem tonem pokrzykować i zdać padających z tłumu, wyciągnął w górę rękę na znak, że chce mówić, i zwrócił się do Galiny:

— Żelazo dobre, jak się je kuje na gorąco. Nam dzisiaj wszystkim gorąco — aleśmy nie z żelaza. Spółdzielnia to wielka rzecz, trzeba ją hartować na zimno. Jak myślicie, dyrektorze Roman? Jakbyście radzili?

Roman nie odpowiedział od razu. Łowił uchem, jak i Kwiatkowski, szepty i półsłówka padające z gromady, szybko je wazył, taksował — choć odpowiedź miał przeciw gotową:

— Towarzysze Makowski i Olkowiec pójdą teraz z tymi, którzy zechcą orać traktorem, do sołtysa. Podpiszcie umowę. A o spółdzielni pomówimy na zebraniu w przyszłą niedzielę — tak chyba będzie dobrze?

— Zgoda! Zgoda! Lepiej na zimno! — padło z wielu ust chłopskich.

Chrystus dorzucony cysząc ręką do ogniska buchnął w tej chwili wysokim płomieniem.

— Ja słyszę „zgoda, zgoda“ — roześmiał się do chłopów Kwiatkowski — a traktorystę i tego tu — wskazał ręką na Józka — pomocnika kto z was przenocuje? Pomyśleliście?

Andrzej Kruczkowski

Ogromne łapy Jarmarkowskiego osadzili go na miejscu. Szamotał się, rozszonny i z pianą na ustach, ale Górski i Jarmarkowski nie wypuścili go z swych rąk.



WŚRÓD KSIĄŻEK

„Jak żyją i pracują w kolchozach Radzieckiej Ukrainy. Książkę przygotowali: Roman Jurys, Irena Kowalska i Marian Ponikowski. Warszawa, „Książka i Wiedza“, 1950. — str. 137 i 7 nl.

Jest to praca zbiorowa, zawierająca szesnastce relacji chłopów polskich, uczestników zesłorocznej wycieczki na Ukrainę Radziecką. Wycieczka liczyła prawie 400 osób; podzieleni na kilkanaście grup, jej uczestnicy zwiedzili w ciągu dwóch tygodni 127 kolchozów, obejmujących ok. 300 tys. ha. Z tych cyfr wynika, że autorowie wrażeń i wspomnień mieli dość materiału do obserwacji, porównań, ocen, sądów i wniosków.

Dominującym tonem całego zbioru jest uczucie podziwu i entuzjazmu w obliczu gospodarczych i kulturalnych osiągnięć kolchoźników ukraińskich, ich dobrobytu i wysokiej pod każdym względem stopy życiowej. Obok podziwu, a nawet zachwytu, przewinie się tu i ówdzie motyw jak gdyby żalu, że Polska dopiero teraz może czynić pierwsze kroki na drodze społeczeństwa i unowocześnienia gospodarki rolnej, z czym wiąże się zrozumiałe pragnienie, by te kroki były coraz szybsze i coraz bardziej zdecydowane.

Uczestnicy wycieczki interesowali się absolutnie wszystkim, co dotyczy bytu kolchozowego: metodami i wynikami uprawy rolnej, ogrodnictwem, sadownictwem, gospodarką hodowlaną, postęпами mechanizacji, stanem szkolnictwa, zdrowotności publicznej, urządzeń kulturalno-rozrywkowych, wysokością indywidualnych zarobków kolchoźników i dochodów zbiorowych. A na wszystkie swe pytania, zaprawione niekiedy niedowierzaniem i wątpliwością, znajdowali zawsze odpowiedź pełną, szczerą i po bratersku życzliwą.

Wrażenia i uczucia powracających do Polski uczestników wycieczki nie dadzą się opisać ani zrecenzować. Aby dać właściwe pojęcie o treści omawianej tu książki, trzeba by ją stronica po stronicy cytować. Nie jest to jednak zadaniem sprawozdawcy, który w krótkiej notatce musi się ograniczyć do przytoczenia zaledwie paru zdań z relacji Marii Iskry, malowniczość i takich oto słowach życie kolchozów: „Nabrałam przekonania, że gospodarka zbiorowa poza tym, że ułatwia i ulepsza materialne warunki kolchoźników, wychowuje lepszych ludzi, wychowuje ich w duchu solidarności, braterstwa i serdeczności. Wiem, że taka prostota w życiu i taka szczerść jest możliwa tylko w takich warunkach, jakie są tam... Ta wycieczka na Ukrainę przekonała mnie, że w kolchozach żyją dobrze, a młodzież rośnie na ludzi, którzy mogą dać więcej korzyści narodowi...“

Książka o życiu i pracy w kolchozach Ukrainy przekłona już została na język ukraiński. Omawiano ją też wielokrotnie w prasie radzieckiej. Jest to książka dobra, cenna i potrzebna. Rozpraszająca mgły nie-

porozumień, nieufności i po prostu plotki snującej się jeszcze tu i ówdzie po wsiach polskich wokół sprawy zespolowej gospodarki rolnej, wytrąca z rąk wrogów klasowych i dywersantów politycznych fałszywe „argumenty“ przeciwo kolektywnym formom pracy i produkcji — wskazuje wreszcie wsi polskiej siłę świetnego wzoru i przykładu: prostą, jasną i szeroką drogę wiodącą do odrobienia wiekowych zaniedbań, do wszechstronnego rozwoju i dobrobytu, na gruncie zasadniczej przemiany socjalistycznej.

bd

Biblioteka „Szpilek“. 5. — Karol Czapka. Humoreski. Tłumaczyła z języka czeskiego Maria Erhardtowa. Ilustrował Jerzy Srokowski. Okładkę projektował Eryk Lipiński — Warszawa, „Czytelnik“, 1950. — str. 139 i 5 nl.

Humoreski Karola Czapka czynią wrażenie blahych i nieobowiązujących drobniaków powstałych na marginesie właściwej jego twórczości — tej, która obejmuje przede wszystkim szereg wartościowych, znanych także w Polsce, utworów powieściowych. Tematyka humoresek jest dość jednostronna, dotyczy bowiem niemal wyłącznie zakresu praktyki sądowo-policyjnej, potraktowanej oczywiście w sposób groteskowy. W takim doborze tematów dopatrzeć się można osobistych reminiscencji autora, który za młodych lat, w czasach „cesarsko-kołchozowych“, próbował „kariery“ urzędniczej.

Humor Czapka nie jest spontaniczny i porywający, ma natomiast cechy intelektualizmu, niekiedy fantastyki (np. humoreska p. t. „Aureola“). Na dowcipie i inwencji autorowi nie zbywa; jest on pod tym względem podobny do bohatera jednej z humoresek — Hawleny, który „na jednym posiedzeniu wymyślił dwadzieścia jeden karnych spraw sądowych, jedną lepszą od drugiej...“ Czapka z upodobaniem wymyśla i stwarza dość niezwykłe wątki swych humoresek; sytuacje są tu zabawne, lecz na ogół sztuczne, można się więc z nich uśmieć szczerze, lecz nie do rozpunku.

Należy zaznaczyć, że w omawianych tu humoreskach Czapka nie ma akcentów krytyki i satyry społecznej, którą przeciw często spotykamy w powieściach autora „Zwykłego życia“ i „Fabryki absolutu“, autora znanego ze swych przekonań postępowych i demokratycznych, który nie zdołał przeżyć hitlerowskiego najsia na Pragę Czeską w r. 1939. Ten dość uderzający mankament sprawia, że wartość humoresek stała się dziś anachroniczną — i nie można uważać tych bezpretensjonalnych i grzeszących pisarskich za reprezentatywną — choćby w pewnym tylko stopniu — pozycję w twórczości wybitnego autora czeskiego.

Polski przekład „Humoresek“ bardzo poprawny. Rysunki i okładka utrzymane w stylu i dobrze dostosowane do tekstów.

bd

Stolik monażysty filmowego

Licja, Wicinius i Chrystus w technicolorze

Na stoliku Puka znalazł się amerykańsko-włoski „prospekt“ filmowy donoszący o rozmaitych cudach, które „staną się prawdą“ w czasie realizacji arcyfilmu Metro-Goldwyn-Mayer „Quo Vadis“.

Nie ma mowy, abym zajmował miejsce w „Nowej Kulturze“ cytując wszystkie głupstwa, nonsensy, przeoczenia, przeinaczenia itd., itd., od których roi się ten biuletyn.

Cheć jednak zwrócić uwagę na pewne dysproporcje, które — ze względu na epokowe znaczenie filmu — nie mogą przejść niezauważone.

ASPEKT SPOŁECZNY

Film realizuje się w Cine Citta w Rzymie, ale w czasie całego filmu — co z dumą podkreśla biuletyn — nie będzie ani jednego pleneru z Rzymu. „Ten sam film moglibyśmy kręcić w Hollywood — powiada biuletyn — ale w Hollywood nie ma Roku Świętego i nie ma Papieża. Nasz najdroższy na świecie film katolicki powstawać będzie w cieniu bazyliki św. Piotra, na miejscu, gdzie Chrystus ukazał się uciekającemu Piotrowi...“

W filmie biera udział gwiazdy amerykańskie, angielskie i jedna młoda Włoszka. Scenarzyści, technicy, realizatorzy, artyści, dekoratorzy, tapicerzy, stolarze, muzycy, malarze, elektrycy, montażyści, robotnicy zostali specjalnym statkiem a częściowo samolotami przetransportowani „wprost z Nowego Jorku“ — chwali się biuletyn.

Zródła włoskie dodają, że „najazd amerykański“ spowodował bezrobocie wśród 3000 pracowników Cine Citta, gdyż całe miasteczko zajęte jest pod produkcję tego filmu. Trzy tysiące bezrobotnych

Nie ma co mówić, piękny cel, jak na „najbardziej katolicki film świata“ o budżecie 7 — 10 milionów dolarów.

ASPEKT POLITYCZNY

Postępowy reżyser John Huston został odsunięty od tego filmu, ponieważ chciał nadać scenariuszowi charakter rewolucyj-

no-ludowy, taki, jakie miało wobec władzy absolutnej Nerona pierwotne chrześcijaństwo. Na jego miejsce przyszedł osiawiony „producent melodramatów“ Mervyn le Roy „wierny zasłom amerykańskiemu“. Le Roy dostał polecenie „nie liczenia się z wydatkami, tak aby amerykańska ekipa reprezentowała bogactwem raj panujący w USA“ — pisze biuletyn.

Widzimy już reżysera mówiącego do tłumu (tym razem włoskich) statystów: „Pójdźcie o Włosi, pójdźcie wszyscy razem, na podwórko planu Marshalla...“

ASPEKT (PRZEPRASZAM) „HISTORYCZNY“

„Widzieliśmy już Chrystusa w filmie czarno białym „Król Królów“ i rękę Chrystusa na kolorowo w filmie „Ben Hur“. W filmie „Quo Vadis“ ujrzemy po raz pierwszy wizję Chrystusa w „Technicolorze“, 50 najwybitniejszych znawców „Technicoloru“ przygotowuje to superzdjęcie, szczytowe osiągnięcie kinematografii amerykańskiej, z okazji Roku Świętego...“ (itd., itd.). W roli WICINIUSA wystąpi nasz niezawodny, genialny ROBERT TAYLOR, wróg komunizmu nr 1, w roli LICJI, Deborah Kerr... Celem dokonania zdjęć w cyrku wybudujemy Circus Maximus, około 5 razy większy od oryginalnego!...“

Tym tonem 12 stron „bogato ilustrowanych“.

Tylko jeden tak zwany „feler“... ani słowa o H. Sienkiewiczu. Może to i dobrze dla nieszczonego scenarzysty „Chrystusa w Technicolorze“.

Puk.

SPROSTOWANIE

W związku z artykułem moim zamieszczonym w „Nowej Kulturze“ (nr. 22) r.t. „Jeszcze o filmie dokumentalnym“ stwierdzam, iż wkradła się do niego pomyłka, a mianowicie twórcą filmu „Ostatni Parteitag w Norymberdze“ jest Antoni Bohdziewicz.

Jerzy Piórkowski

CZYTAJCIE I PRENUMERUJCIE

Prasa Radziecka.

PRENUMERATE PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE ODDZIAŁY P.P.K. RUCH

mała kronika



POWIADA historia, że niedgdyś przebiegała przez świat gruba linia. Po jednej jej stronie leżała oświecona, chrześcijańska, cywilizowana Europa, po drugiej — rozciągała się barbarzyńska, pogańska, ciemna ziemia nieczyja. W Europie zachowywano formy pokoju i wojny, na ziemi nieczyjej każdy czynił co chciał. No war beyond the line, nie ma żadnej wojny poza linią, głosiło stare przysłowie kolonizatorów angielskich. Zatarci kolonialni „nie liczyli się”. Król hiszpański uśmiechał się do swego angielskiego kuzyna, a jednocześnie korsarz brytyjski mordował korsarza hiszpańskiego na morzach południowych, europejskie pulki wyrzynały się wzajemnie, kupcy wydzierali sobie z rąk bogate lupy zarte z narodów kolonialnych. I na odwrot: mogli się kapitaliści niemieccy nienawidzić z angielskimi i francuskimi, mógł Krupp konkurować na śmierć i życie z Vickersem czy Creuzotem, ale na chińskiej ziemi „nieczyjej” wszyscy byli solidarni: żołdak brytyjski, junkier niemiecki, legionista francuski. Cyniczne wyrznanie narodów było jedną z form „handlu” metropolii kapitalistycznych z ich koloniami. Opowiada historia, że wiele portów w zachodniej Europie wzbogaciło się, rozkwitło i wstawiło się wskutek uprawiania tzw. handlu trójkątnego. Z Europy odchodziły do Afryki paciorki, świecidełka i wódka. Za paciorki kupowano niewolników, których te same okręty odstawiały do obu Ameryk; po czym okręty wracały do macierzystych portów, załadowane bawełną, kawą, korzeniami, złotem, mahoniem — towarami wyprodukowanymi rękoma tylko co sprzedanych niewolników. Nie zawsze jednak zysk był tak łatwy. Czasem trzeba było prowadzić krwawe wojny dla zbycia towaru. Burzący historycy angielscy chętnie piszą o sukcesach królowej Wiktorii niż o wojnie opiumowej z Chinami, gdy okręty angielskie paliły miasta chińskie, położone nad sławnymi rzekami, mordowały setki tysięcy ludzi, łamiąc opór narodu, który nie chciał zatruwać się indyjskim opium rzucającym tysiącami ton przez brytyjskich kolonizatorów na rynek chiński.

Nie było wojny poza linią. Nie tylko wojny, nie było również kultury. Imperialiści urabiali pracowicie legendę o braku kultury, o ciemności i zewierzaniu narodów kolonialnych, stawiając swą misję „cywilizacyjną”. Przywozili do Europy jak do ZOO egzotyczne zwierzęta, rośliny, wyroby, przeszczipiali tanią, hollywoodzką egzotykę „dziewcząt z Bali”, popularyzowali mit wschodniego bezruchu i mistycyzmu religijnego, kontemplacji wieczności i obojętności „wschodu” wobec świata, puszczając swą europejską ruchliwość i energię. Jak gdyby waleczący przez cały wiek XIX i XX naród chiński miał skłonności do kontemplacji imperializmu! Jak gdyby buntujący się Hindusi, dziesiątkowani przez armaty angielskie — tęsknili do Nirwany, a nie do chleba i wolności!

Opowiada jednak historia również o Wielkiej Rewolucji Październikowej, o bohaterskim Kraju Rad, o zrywaniu narodów kolonialnych. Przemieniły one życie ludów „poza linią”. Nós ma linii dzielącej świat na metropole i kolonie. Jest linia

dzieląca świat na kraje socjalizmu i ziemie deplane przez imperializm. Linia przerywana i odsuwana przez narody kolonialne. One dyktują już nieraz imperialistom swą wolę. Przed pół wiekiem Zagłębie Kuby produkowało armaty i karabiny przeznaczane do uśmierzenia ludu chińskiego. Dziś fabryki Zagłębia otrzymały zamówienie na sto tysięcy szyn kolejowych od Chin Ludowych. Jak wiadomo, okupanci angielscy zabronili niemieckim przemysłowcom przyjęcia oferty. Pozwolił jedynie na produkcję dziesięciu ton szyn. Resztę skwapliwie polecił wykonać własnemu, angielskiemu przemysłowi. Świat stał się dla imperialistów zbyt ciasny. Minęły czasy, gdy armatami otwierano nowe rynki zbytu.

I formy poznania kultury krajów „kolonialnych” przemieniło zwycięstwo socjalizmu w Związku Radzieckim i pełna sukcesów walka wyzwolenia narodów wschodnich, afrykańskich, południowo-amerykańskich. Za pośrednictwem wielkiej kultury narodów radzieckich zapoznaliśmy się z wybitnymi osiągnięciami kultury narodów kolonialnych. Dzięki temu pośrednictwu krzepnie międzynarodowa solidarność, umacnia się przyjaźń, utrwała się dzieło pokoju, umacnia kultura ludzka, wzbogaca się o nowe treści narodowe, rozwiewają się podłe mity imperialistów o ich misji „kulturalnej”.

Prowadzimy ożywną wymianę handlową z Ludowymi Chinami, nawiązujemy braterskie stosunki z Koreą i Vietnamem. W ślad za tym pójdzie coraz żywsza znajomość kultury naszych narodów. Bliżką nam się stanie uspaniała, postępową poezja chińska, pamiętne wiersze Mao-Tse-Tunga i Kuan-Chao, wielkiego klasyka Po-Chü-yi, utwory wietnamskiego przywódcy ludu Ho-Szi-Min, realistyczne opowiadania Mulk Raj Ananda, koreański taniec i burmańska pieśń. Trzeba wzmocnić pracę naszych tłumaczy, obficie korzystać z pośrednictwa mowy rosyjskiej. Trzeba również zapoznać się z postępową prasą tych narodów. Daje ona pełny obraz walki narodów kolonialnych o wyzwolenie, przybliża nam ich bohaterów partyzantki czy pracy socjalistycznej, jest łącznikiem i przyjacielem. Opowiada historia o wspaniałym rozkwicie kultury narodów złączonych w Związku Radzieckim. Julian Tuwim w pięknym wierszu „Ex Oriente” wyraził naszą miłość i podziw dla poezji leżyńskiego starca, Sulejmana Stalskiego, Baszkira Kulibaja, azerbajdzkańskiego poety Sameda Wurguna, dla swych przyjaciół z Tadżykistanu i Gruzji, dla kultury wykwitłej między Uralem a Alaską:

„O was, zbudzonych radośnie, w pochód ludzkości włączonych,
O was, bracia świecącej nowej epoki brzaśkiem — śpiewam.”

Jest to hold poezji polskiej nie tylko dla kultury Uzbeków czy Ewenków, lecz również dla rozkwitającej poezji indonezyjskiej i wietnamskiej, burmańskiej i hinduskiej; dla słowa głoszącego walkę o wolność w dialekcie kantońskim i Ke Chia, Amoy i Chao Chou, dla kultury narodów budujących socjalizm i waleczących o zrzućcenie jarzma imperializmu.

Tadeusz Borowski

Za policyjną kurtyną

Amerykański Departament Stanu, który odmówił prolongaty paszportu zagranicznego murzyńskiemu śpiewakowi Paul Robesonowi, postanowił roztoczyć skrupulatną kontrolę nad amerykańskimi poddanymi, wyjeżdżającymi za granicę. Obecnie odmówiono również wydania paszportu znanemu pisarzowi i publicyście Albertowi Kahnowi, autorowi książki „Wielki spisek przeciw ZSRR”. Kahn należy do tych ludzi, którzy pozwalają sobie mówić prawdę o imperialistycznej polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych i demaskują wojenne plany amerykańskich podżę-



gaczy wojennych. Obrońcy „zachodniej wolności” woła przeto mieć go pod ręką. Albert Kahn zwrócił się do „Komisji dla praw człowieka” przy ONZ z prośbą o przekazanie jego sprawy Zgromadzeniu Generalnemu ONZ. W odpowiedzi rzecznikowi rządu amerykańskiego, twierdzącemu, że wydanie paszportu Kahnowi byłoby „sprzeczne z interesami Stanów Zjednoczonych”, pisarz oświadczył: „Możliwe, że Departament Stanu uważa wszelką krytykę swojej polityki za wrogą działalność. Możliwe, że sfery finansowe nie aprobują mojego przeświadczenia, któremu dawałem często wyraz, że należy ludzkie życie wyżej cenić od zarobków przemysłu zbrojeniowego, że pokój jest bardziej pożądany od wojny. Naród amerykański dojdzie samodzielnie do przekonania, co należy o tym sądzić.”

W „mocarstwie kultury”

Austriacki kanclerz Figl w jednym z ostatnich przemówień oświadczył dumnie, że Austria jest „mocarstwem kultury”. Ciekawym komentarzem do tych słów jest artykuł w wiedeńskiej „Volksstimme”, obrazujący sytuację austriackich muzyków. W „mocarstwie kultury” dwie trzecie muzyków zrzeszonych w związku zawodowym są całkowicie lub częściowo bezrobotne. Członkowie wielu orkiestr utrzymują się ze sprzedaży programów na ulicy. Gmach wiedeńskiej opery straszy pustkami, rząd nie znalazł dotychczas ani grosza na jego remont. Niektórzy muzycy, ratując się od śmierci głodowej,



zorganizowali zespoły uliczne koncertujące na placach Wiednia. Ale i do nich zabrał się Zarząd Miejski. Postępując w myśl zasady: „wyrzucić biednego, gdyż jego widok krwawi mi serce”, zarząd miasta Wiednia postanowił usunąć nie nędzę artystów, lecz samych muzyków. Zabroniono wiedeńskim muzykom koncertować na placach miejskich z powodu „nieprzystojnego zebraństwa”, co oczywiście nie przeszkadzało, że władze miejskie w ostatnich dwóch latach ściągnęły z tych zebrań imprez ponad 30.000 szylingów podatku. Na skutek tego zarządzenia wypadnie niejednemu muzykowi wiedeńskiemu zebrać po domach. Jednocześnie odbywa się w Salzburgu festiwal muzyczny, dostępny tylko dla bogatych snobów z zagranicy, gdyż bilety wstępu można nabyć jedynie za... dolary. Tak przedstawia się życie muzyków i sprawa popularyzacji sztuki w zamekizowanym „mocarstwie kultury”.

W Anglii nie lepiej

Angielska prasa donosi o zlikwidowaniu czasopisma literackiego „New Writing”, które przestało wychodzić z powodu trudności finansowych. „New Writing” było pierwot-



nie tygodnikiem o demokratycznym zabarwieniu; ostatnio, chcąc się ratować od zagłady, pismo posterowało na prawo, ale po-

Komentarze

mogło mu to jak umarłemu kadzido. „New Writing” zbankrutowało, podobnie jak poprzednio „Strand Magazine”, „World Review” i „Horizon”. Angielskie dzienniki biadają, że Anglia jest obecnie pozbawiona czasopism literackich, że „podobna sytuacja nigdy nie miała miejsca w dziejach Anglii”. Londyńska prasa ma całkowitą rację — podobnej sytuacji nigdy nie było w Anglii. Ten sukces w rozwoju kulturalnym kraju zawiązcza Wielka Brytania rządowi Attlee. Anglii nie mają pieniędzy na kupowanie literackich czasopism, ponieważ Anglia zbroi się... dla ratowania „zachodniej kultury”. Artykuły żywnościowe drożają w kraju, „socjalistyczny” rząd Partii Pracy zaleca ludności armat zamiast masła, chociaż żaden poddany Jego Królewskiej Mości nie dokazał tej sztuki, by posmarować sobie armatą kromkę chleba.

Ezy, które przynoszą dochód

Większe miasta amerykańskie, które z reguły nie mają stałych teatrów dramatycznych, zaspokajają głód kulturalny mieszkańców różnymi konkursami. Tak również postąpiła Filadelfia. Ponieważ Nowy Jork zorganizował konkurs śmiechu, Palm Beach konkurs piękności, a Chicago konkurs obzarstwa, nie pozostało Filadelfii nic innego, jak zorganizować konkurs płaczu. Manager zgromadził na scenie kilkudziesięciu kobiet, z których najwytrwalsza miała sobie wypłacać tysiąc dolarów premii, a przedsiębiorcy kilkanaście tysięcy dolarów zysku. Na sali zebrało się kilka tysięcy amatorów cudzych teat. Podobne imprezy są źródłem do-



skonałych dochodów, zarobki przynoszą bowiem nie tylko bilety wstępu, ale i dzierżawa prawa fotografowania placyk, prawa sprzedaży lodów, parówek i gumy do żucia. Ostatnia rozgrywka filadelfijskiego konkursu nastąpiła między 62-letnią byłą śpiewaczką operową i 19-letnią sprzedawczynią w sklepie lodówek. Zwycięstwo odniosła młodość: zdobywczyni „pierwszej nagrody” szlachetnie, jak „bezsłownie stwierdziła rzeczoznawcy”, cztery godziny i trzydzieści minut. Jej starszą konkurentką, którą to poniżające widowisko zlamano psychicznie, zajęło się pogotowie ratunkowe.

W tym samym czasie, w którym odbył się konkurs filadelfijski, tysiące kobiet amerykańskich oplakiwało swoich mężów i synów poległych w Korei.

W kraju wolności

W kraju wolności... oczywiście w Stanach Zjednoczonych wolność w praktyce wygląda następująco:

W stanie Alabama w mieście Birmingham rada miejska wydała zarządzenie na mocy którego „komuniści” winni w ciągu 48 godzin opuścić terytorium miasta. Po upływie tego terminu każdy napotkany komunistą mógł być osadzony w więzieniu. Jako „komunistów” zarządzenie określiło członków Partii Komunistycznej USA oraz tych, którzy „przebywali z członkami Partii Komunistycznej w prywatnych lokalach”.

W mieście Houston (Texas) tłum rozwydrzonych rzemieślników udał się o północy pod mieszkanie sekretarza miejscowej organizacji partyjnej, zdemolował je i wybił wszystkie szyby. W ciemnościach ucierpiał również szyby sąsiadów. Skutek: właściciel domu wymówił mieszkanie sekretarzowi partii w obawie, że straci pozostałych lokatorów.

W Los Angeles grupa „patriotów” napadła na kilku robotników z fabryki Chryslera, którzy powracali do domu z pracy. Robotnicy zostali, jako komuniści, pobici dotkliwie, „na pamiątkę i w nagrodę za działalność komunistyczną”. Później okazało się, że wśród pobitych byli przeważnie marynarze — weterani drugiej wojny światowej, co wywołało w prasie nieco wrzawy. Prawicowe gazety opublikowały zdjęcie powalonych na ziemię robotników z napisem: „Sock and then ask” (najpierw bij, a potem pytaj).

O powyższych szczegółach można dowiedzieć się z tygodnika „Time”, który jest znany jako orędownik hasła „amerykańskiego stulecia”.

Jeszcze o korekcie

Ossolineum od dawna przyzwyczaiło nas do wydań wzorowych. Obydwie serie „Biblioteki Narodowej”, obejmującej literaturę polską i obcą, są — że ograniczymy się do tego tylko zakresu — przykładem niezwykłej starannej korekty. Tymczasem coś się zaczęło psuć w państwie duńskim. Ossolineum wydało ostatnio „Alkhadar” Edmunda Chojeckiego ze wstępem i objaśnieniami Wiktora Hahna. Byłoby przesadą powiedzieć, że cztery duże tomy tej powieści roją się od błędów korektorskich, niemniej jednak nie należy ukrywać faktu, że pod względem korektorskim wydanie to nie bardzo zasłużyło sobie na firmę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W szczególności oficje rozsiane po książce komentarze zawierają dużo poważnych, a raczej niepoważnych błędów zecerzkich, które wybitnie szkodzą rzetelności tych komentarzy.

Oto kilka przykładów: „Henryk Żewuski” (ki czort? — ma prawo zapytać czytelnik), „Rabailais” zamiast „Rabelais”, „Molière... Paquelin” zamiast „Poquelin”, „Niesiecki” zamiast „Niesiecki”, „sympton” zamiast „symptom”, „Apollina” zamiast „Apollina”, „les Liaisons danjeruses” zamiast „dangereuses”, „mitologi” zamiast „mitologii” itp.



JÓZEF PRUTKOWSKI

GOŚCIE

Pewien przodownik rzucił wezwanie:

— Przekroczę normy w sześciolletnim planie! Ogłoszcie!

Wziął się natychmiast do pracy w dwójnasób
Ale niestety zabrakło czasu,
Bo przyszli goście.

Przyszedł reporter: Drogi przodowniku,
Muszę o tobie napisać artykuł.
Opowiadaj.

Przyszedł poeta: nareszcie mam temat
Zaraz o tobie napiszę poemat,
Skąd jesteś, gadaj...

Przodownik wszystko powiedział poecie
Gdzie, co, jak, ile — tak jak w ankiecie.
Alisii,

Ledwo poeta z redaktorem znika
Już nowi goście do przodownika:
Kino.foto-reportażyci.

Potem redaktor wprost ze stolicy,
Potem z sąsiednich kopalń przodownicy
— No, ile normy odwalasz?

Potem koledzy z różnych komitetów
Przyszli pogadać z nim w sprawie bankietu
Wreszcie artysta malarz.

Po szychcie bankiet. Na tym bankiecie
Przodownik wstał i powiedział: „Wicie,
Muszę wykonać plan ten!

Lecz bardzo proszę, grzecznie ogłoszcie,
Że owi wszyscy serdeczni goście
Robią mnie bumelantem”.



Jak sobie Truman wyobraża „Nową Europę”

(„Humanität”)